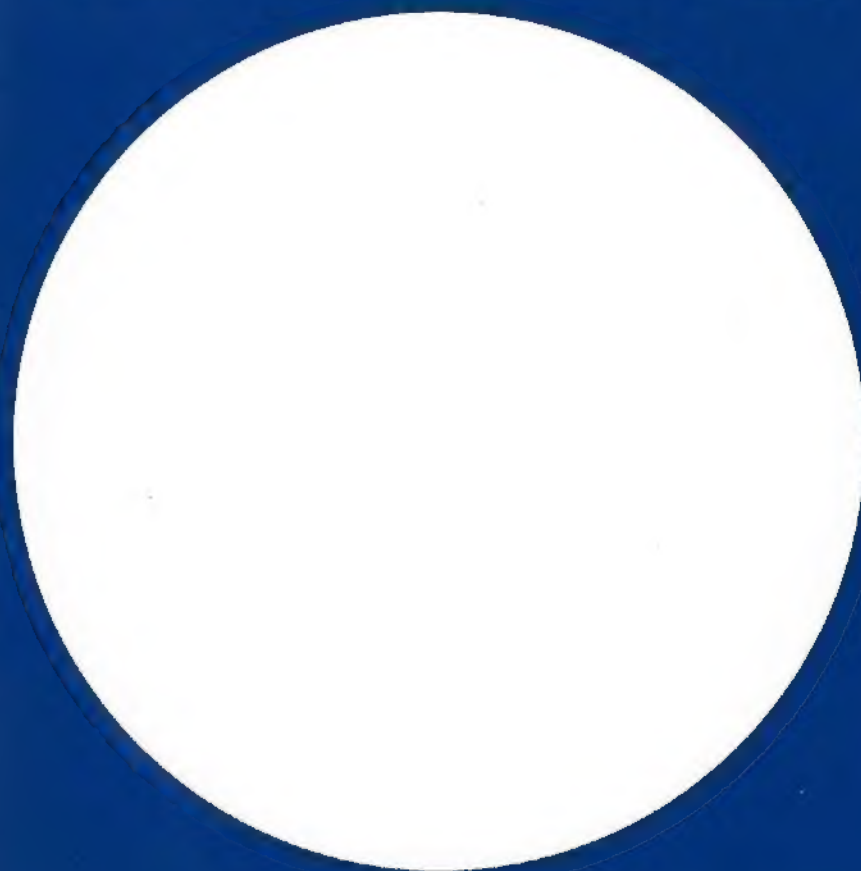


ANNA MIELNIK

BÓG CZŁOWIEKOWI
TAKI LOS ZGOTOWAŁ...



R 0886

15,80

BÓG CZŁOWIEKOWI
TAKI LOS ZGOTOWAŁ...

ANNA MIELNIK

BÓG CZŁOWIEKOWI
TAKI LOS ZGOTOWAŁ...



Okladkę projektowała
Marzena Wieczorek

Korekta
Zbigniew Adamski

Skład i łamanie
Toporzeł, Wrocław

Copyright © Anna Mielnik 1997

Wydawnictwo Mielnik
00-957 Warszawa 36 skr. poczt. 51

Wydanie I

ISBN 83-908568-0-8

*Los człowieka – jego nieuchronność. Co było siłą napędzającą
bieg ziemskich wydarzeń? Po co w ogóle pojawił się człowiek we
Wszechświecie? Człowiek nie może nie stawiać tych pytań, jeśli chce
być świadomy swego bytu. I wielu stawia, ale zniecierpliwieni, że
nigdy natychmiast odpowiedzi nie słyszy, rzucają się w wir zwy-
czajności, sądząc opacznie, iż codzienność to jedno, a pytania o
sens istnienia – to drugie.*

Z BOGIEM NIE WYGRASZ

Bóg jako synonim nieograniczonej mocy i władzy nad człowiekiem jest wyobrażeniem z gruntu obcym rzeczywistej naturze człowieka. Walka i zwyciężanie to nieodłączny atrybut samego boga i całego jego otoczenia. Zmieniali się bogowie. Walka, jako wyznacznik boskości, pozostawała i trwa nadal. Bez męstwa i ofiary nie ma wyróżników. Zatraca się sens istnienia boga. Kwintesencję walki i zwyciężania ze wszystkimi niuansami słownymi, psychicznymi i fizycznymi skupiło w sobie chrześcijaństwo. Duch walki chrześcijaństwa podrywa do konfliktu, gdy zawodzą wszelkie inne inspiracje.

Duch walki, uświęcony kodem istnienia trójcy świętej, pieczętuje obowiązek bojowości. Stanowi o męskim priorytecie w ludzkiej egzystencji. Skazuje mężczyznę i kobietę na stałą opozycję.

Symbole boskości trójcy stanowią: ojciec, syn – mężczyźni i duch św. Relacja zachodząca między stwórcami jest stosunkiem zależności, podporządkowania cierpieniu i ofierze. Wyrazem boskości jest bezwzględne posłuszeństwo woli ojca, który gdy zostaje katem własnego syna, zyskuje na wyrazie swej boskości. Duch św. nigdy nie został zdefiniowany jasno przez interpretatorów chrześcijańskich – przedstawiany jest enigmatycznie jako siła, napęd boskości, tzn. męstwa, męskiej mocy, umożliwiającej zwyciężanie, pokonywanie, wyróżnianie się.

Tajemnica ducha św. jest sekretnym kodem zdobycia i utrzymywania władzy nad ziemskim człowiekiem. Konieczność utrzymania przewagi mężczyzny nad kobietą wskazuje podstawowe źródło uzyskiwania cudzej energii. By opozycja między pierwiastkiem żeńskim i męskim miała charakter stały – trzeba było powołać strukturę wiary, w której mężczyzna jest ponad wszystkim. Kobieta musiała być wyrzucona z układu trójcy. I z niej płynęły z niej korzyści, koniecznie należało zachować z nią związek. Poniżana i utrzymywana w roli podczłowieka najlepiej spełniała swoją rolę. Co najwyżej mogła się stać służebnicą pańską. Sztuczna

formuła zależności wymagała przymusu, bowiem człowiek miał inne wspólnotowe skłonności w sobie.

Równoważenie płci w prawach automatycznie przekreśla moc mityfikacji trójcy i obnaża fałszywe podstawy wiary. Niweczy władzę męczyzny, toteż nawet jako hasło było tępotne.

Istota wiary zawarta w opozycji męczyzny wobec kobiety mogłaby się nie utrzymać zbyt długo, gdyby nie wzmocniono jej również konfliktem wśród samych męczyzn. Stąd męczyźni – władcy kobiet wedle reguły trójcy św. – musieli podjąć ze sobą walkę o wyróżniki lepszości. Do tajemnicy ziemskiej ducha św. docierali tylko najwytrwalsi kombinatorzy, nieustraszeni wojownicy, ale i tak zyskiwali tylko przestrzenie wewnętrznej manipulacji. Ten paradoks myślowy w praktyce mógł się realizować tylko poprzez strukturę wiary.

Ziemski człowiek od pojawienia się wiary pracował na nieśmiertelność bogów, dla niego pozostawała nadzieja nieśmiertelności po śmierci – w ten sposób wyrabiał się nawyk niezbędności umierania ciała, wzmacniany i podsycany przyjęciem konfliktu do wnętrza człowieka. Nawet nie w pełni uświadomione przyjęcie istnienia ducha św. sprawia, że duch walki nie opuszcza człowieka ani w zmaganiach wewnętrznych, ani w stosunkach z innymi ludźmi. Funkcjonuje w jednostce ludzkiej, mimo że ta zmienia wyznanie, filozofie, partie.

Zdeklarowany ateista, mający przysłowiową chwilę wątpliwości w postaci słów: „Ale coś w tej wierze jest”, skupia swoją energię na fałszywym kodzie ducha św. i pozwala na utwierdzenie się sprzeczności wewnętrznej własnego ciała i psychiki. To wystarczy, by przekonanie, że wszystko ze sobą musi się ścierać, zostało utrzymane jako podstawowa funkcja wątpliwego, wahającego się ciała. Komórki zawierające pierwiastki męskie i żeńskie włączają się w program konkurencji i walki. Wraz z częściowym choćby przyjęciem kanonu wiary zaczyna się choroba – niszczenie ciała i umieranie.

W pokrętej definicji trójcy św. zawarte jest fatum, nieuchronność losu ludzkiego. Konkurencja, konieczność zwyciężania raz wprowadzona w człowieka napędza się samoistnie – toteż życie ziemskiego człowieka musiało stawać się coraz krótsze i coraz bardziej obciążone chorobą.

Walka to umieranie, stąd i nieśmiertelność pozaziemskich bogów, kreujących tę walkę, może być tylko czasowa. Dokąd wystarcza pomysłów na organizowanie konfliktów, koncepcji na udrękę i zabijanie innych – długowieczność rządców świata ma się dobrze. Po zbadaniu wszystkich skutków płynących z walki – dalsze prowadzenie dzieła jest bezprędmotowe i umiera. Tej prawdy jednak ani bogowie, ani ich ziemscy pośrednicy nie chcieli przyjmować do wiadomości.

Tajemnica ducha św. skrzętnie wiekami była chroniona przez kapłanów. Zwyczaj człowiek wraz z poddaniem się jej otrzymywał wyłącznie uświęcone cierpienie. A pośrednicy boscy? No cóż, wystarczy prześledzić działalność zakonów i rosnącą potęgę Kościoła, by zorientować się, że w tajemnicy trójcy św. ukryta była potęga władzy nad człowiekiem. Wtajemniczono w nią tylko wybranych, wyróżniających się umiejętnościami kombinacyjno-manipulacyjnymi. Żeby zaspokoić różne smaki ziemskich amatorów władzy – potrzebne są masy ludzkie. Stąd ciągota do sterowania przyrostem naturalnym i napędzanie mechanizmów rozmnażania.

Gdy masa ludzka rozrasta się, zarzewia konfliktów rodzą się same. Dla gracza ludzkim losem pojawia się nowy typ podniet. W zaciszu klasztorów były wymyślane różne strategie walk. Powstawały różne programy zbiorowych zachowań. Badano siłę oddziaływania słowa i jego pokrętnych znaczeń na poszczególne jednostki. Eksperymentowano, jak stępieć lub zahamować proces myślowy, by łatwiejsze stało się kodowanie wartości nie mających realnych odniesień do życia. Wielość formuł zakonnych służyła hierarchii do obserwacji i wyciągania wniosków z cudzego udręczenia. Na zakonnikach i zakonnicach niższego przeznaczenia testowano przez wieki typy reakcji na cielesną i psychiczną torturę. By wreszcie doprowadzić człowieka do intelektualnej konkluzji, że jedyną wartością dla niego staje się walka z drugim o przetrwanie. Sterujący procesem nagromadzoną agresję mogą wówczas kierować do starć, a sami upajać się chwałą boga.

Kapłńskich smakoszy walki nęcał intrygi myślowe, pociąganie sznurków marionetek ludzkich, które wcześniej się ukształtowało. Stąd obecność duchownych czy zakonników w wychowaniu, kształceniu, czyli na przedpolu walki, a później wspieranie wszystkiego, co ludzi dzieli na

grupy, wylania przywódców, udział w tworzeniu się wrogich obozów. Władcy i dwory zawsze otaczały gromady wyrafinowanych graczy kościelnych, spowiedników, którzy z lubością podsycali konflikty. Wyłudza-
li majątki, w zamian oferując pajęczynę uzależnień od struktur władzy.

Bitwy, kłótnie, konflikty to udręki, z których stwórcy czerpią poży-
wienie. Że ludzkie cierpienie było dla nich najlepszą strawą, zaświadcza-
ją dzieje ludzkie na Ziemi. Historia zaś chrześcijaństwa, spisana piórami
rzeczników katolicyzmu, jest kroniką nieustających zmagani, niehumanitar-
nego unicestwiania się ku chwale bogów.

Dla boga tworzy się potomstwo. W imię boga zabija się płodzone
bez miary masy ludzkie.

Dla boga wznosi się świątynie, by w podniosłej atmosferze budować
lęk przed wielkością i nieokreślonością stwórcy.

Przez wszystkie wieki nigdy wierni nie czerpali w kościołach wiedzy
o zgodzie. Nie uczyli się sztuki porozumienia z drugim człowiekiem. Sty-
szeli co najwyżej, jak przygniść kogoś miłosierdziem lub jak poświęcić
życie komuś, czemuś, bez zastanawiania się, jaki jest realny sens tego
cierpienia.

Ostatnie tysiąclecie – najlepiej udokumentowane – wprowadziło
społeczeństwa Europy i nie tylko w przestrzeń najokrutniejszych walk
i najbardziej wyrafinowanych tortur. Hasło „Bóg tak chce”, wypowie-
diane przez papieża Urbana II w 1095 roku, poderwało liczne narody
do świętej wojny. Wojny krzyżowe z całym swym bezsensu zabijania
trwały 200 lat. Nie szczędzono w nich nawet życia ledwo poczętego.
W odbijanie gróbu Jezusa chrześcijanie zaangażowali także dzieci. Kil-
kadziesiąt tysięcy istnień zatopiono, sprzedano w niewolę bez skrupu-
łów, jako że nie ma ofiary zbyt wielkiej, gdy idzie o chwałę boga.

Cóż to za ojciec, nieograniczony w swej mocy i dobroci, co dopu-
szcza do haniebnej zbrodni? Nie hamuje kapłanów, gdy ci miliony istnień
w krwawe mięso zamieniają. Czyż nie jest to jawne przyzwolenie rzezi,
nie jedynej zresztą w dziejach narodów?

Bóg – woj i jego ziemscy pośrednicy nieźle się bawili, ludzką udręką
sycili swoje okrucieństwo. W komentarzu duchownego kronikarza kru-
cjat nie ma żalu po unicestwionych istotach ludzkich. Można natomiast
przeczytać, że wojny krzyżowe nie osiągnęły celu głównego: wywarły
jedynie wpływ na wszystkie dziedziny życia: wnieśli ducha ofiarności

z majątku i życia, zapewniły obronę miejsc świętych, ożywiły działal-
ność misjonarską, podniosły powagę papieża, wzbudziły zaintereso-
wanie życiem religijnym, zahamowały wzrost mahometanizmu, spowo-
dowały rozwój miast, handlu, rzemiosła, żeglugi, matematyki, geografii,
wprowadziły nowe przedmioty zbytku.

Rozwój zakonów rycerskich zdawał się najważniejszym osiągnięciem
wojen krzyżowych. Udało się bowiem regułę życia zakonnego połączyć
z obowiązkami rycerskimi. A to oznaczało: pogłębić i nobilitować ducha
walki. Uświęcić różne jej aspekty: intrygę, grę, dyskusję, zmagania o jedno-
stkowe racje. Do perfekcji doprowadzić mechanizm posiłkowania się
cudzymi rękoma dla własnych celów.

Grzegorz VII, projektodawca I wyprawy krzyżowej, uznany przez
rzeczników Kościoła za najwybitniejszego papieża – doczekał się miana
świętego. To on przeprowadził fundamentalną reformę: Kościół musi być
wolny od wpływów władzy świeckiej. Papież dla swej niezależności musi
posiadać Państwo Kościelne. Wkrótce podpisano jedną z najstarszych
umów między papieżem i władzą świecką: konkordat wormacki
(1122 rok), który był wyrazem zwycięstwa w walce o wolność Kościoła.
W praktyce oznaczał gwarancje dla samowoli tej instytucji. Odtąd za-
wsze ogromną wagę hierarchia kościelna przywiązywała do kontraktu
zwanego konkordatem.

„Kościół brzydzi się krwią” – to hasło wprowadziło chrześcijańską
litropę w sześć wieków inkwizycji. Pierwszy sąd biskupów jako trybu-
nał broniący czystości wiary zebrał się w 1229 roku. Od tej chwili Ko-
ściół katolicki przyznał sobie prawo osądzania, wyrokowania i karania
wzrostkiem odmiennego od idei chrześcijaństwa. Wszystko, co wycho-
dziło poza schemat wyobrażeń boga katolickiego, było nazywane herezją
i bezwzględnie tępił.

Sądy biskupie przeniosły walkę z pól bitewnych do kameralnych
wnętrz sądów. Na polu walki obserwowano: co wynika z cierpienia
masy ludzkiej. Badano, ile energii można uzyskać, gdy ginie mięso ar-
matiste. Wprowadzenie inkwizycji i tortur służyło oglądowi cierpienia
indywidualnego, procesowi unicestwiania myśli jednostkowej.

Z lubością kulturowano obrządek inkwizycji przez całe wieki. A kon-
kordat do dziś – zaświadcza, że udręka zadawana drugiemu człowiekowi

jest miłą strawą duchową ziemskich pośredników chrześcijańskiego boga. Nie zarejestrowano dokładnej liczby „wytępionych” heretyków. Ale wiadomo, że sześćsetletnia inkwizycja stanowiła akademię umiejętności zadawania człowiekowi cierpienia i śmierci. Pochłonęła miliony istnień. Stanowi do dziś arsenał wiedzy o zabijaniu wręcz i podstępem.

Tradycja Kościoła – to kanon mechanizmów unicestwiania ciała i psychiki, skarbnica pisanych i niepisanych formuł rozbrajania człowieka i niszczenia jego naturalnych konstrukcji obronnych. Za pomocą cierpienia wmontowuje się w człowieka wątpliwość, niepewność i bezradność. Intryga, skłócenie wewnętrzne jednostki i podsycanie konfliktów na zewnątrz tworzą bazę, na której pośrednicy boga najlepiej się czują; to dzięki niej bez cienia wątpliwości wprowadzają program boskiej chwały.

Syntezy wiedzy kapłańskiej stanowią szkołę taktyki, przebiegłości, sprytu, manipulacji umożliwiającej przeprowadzenie dowolnej bitwy i wygranie każdej batalii, zniszczenie każdej jednostki ludzkiej, nie poddającej się kanonom chwały boskiej.

Inkwizycję w pewnym momencie przekazano cywilnym sądom. Hierarchia kościelna zachowała jedynie nadzór nad rzezią ludzką i sterowanie nią. W ten sposób przedłużono karzące ręce inkwizycji, wzbogacono arsenał środków unicestwiania człowieka.

Większość ofiar inkwizycji to kobiety. Dlaczego one właśnie zyskiwały miano „heretyczek”, „czarownic”, choć przez wieki właściwie nieobecne w publicznym życiu – paktem trójcy św. wypchnięte z grona wojowników, stanowiących liturgię chrześcijaństwa?

Po wiekach prób lekceważenia funkcji kobiety w ludzkiej egzystencji okazało się, że jest ona przetrwalnikiem wiedzy sprzed chrześcijaństwa. Naturalnym odruchem kobiety była dbałość o zgodę w człowieczym losie, troska o harmonię z naturą. To hamowało ducha walki w mężczyznach.

A myślenie wykraczające poza struktury walki, konkurencji, zawsze było groźne dla chrześcijaństwa. Ludziom, którzy się rozumieją, nie są potrzebni pośrednicy, ni bóg, ni kapłan. W kobietach, wykluczonych z paktu trójcy św. – nie kodował się duch walki. Kod trójcy boskiej jako twór wymyślony narzucił sztucznie wyższość mężczyzny i niższość kobiet – miał wymusić cierpienie i lęk przed mężczyzną – bogiem. W kobietach,

które zachowały wiedzę o istocie istnienia ludzkiego, trudno było wzbudzić lęk przed bogiem. Wiedziały swoje. Wołały stos niż wyrzeczenie się wiedzy. Tchórzostwo łatwiej wykreować w strukturach walki – jako opozycję wobec męstwa. Stąd w męzozyznach czym więcej męstwa, tym głębsze pokłady tchórzostwa.

Cóż to za bóg nieskończony w swej dobroci, do którego trzeba skłaniać torturą? Jeżeli człowiek ma wolną wolę, jak zapewniają rzecznicy chrześcijaństwa, powinien mieć prawo do egzystencji wedle własnych odczuć i intuicji.

Chrześcijaństwo bez ognia i miecza nie miałooby dzisiaj wielu zwolenników. Przeszczepione na teren Europy jako nieudaczna sekta judaizmu, przez całe wieki nieskutecznie konkurowało z wyznaniem europejskimi. Okrutny judejski bóg, wymagający od swych wyznawców bezwzględności poddaństwa i mściwego odwetu („oko za oko, ząb za ząb” – główna zasada hebrajskiej sprawiedliwości), nie mógł przebić się przez bardziej ludzkich europejskich bogów. Po wiekach bojów dopiero opróżnił się europejski areopag i zrobiło się miejsce dla boga chrześcijańskiej sekty.

Centrum Europy, gdzie zamieszkiwali Słowianie, nie poddawało się bogom w ogóle. Wewnętrzna struktura i odporność na wiarę tych ludów udało się przełamać dopiero chrześcijaństwem. A i to wymagało tysiąclecia, rzeszy strażników wiary – różnorodnej manipulacji zakonów, wyrafinowanych sposobów okupacji terenów i zniewalania ludzi. Coraz to nowe reguły zakonne sprawiły, że w Europie powstała prawdziwa sieć łajówek na rzecz nowego boga. Osiągnięto perfekcję okrucieństwa wobec jednostki ludzkiej. Hipokryzja wspięła się na szczyty. Ingerencję w światy los nazywano uświadamianiem. Okupację cudzej własności – rozpraszaniem boga. Zabijanie człowieka zyskało miano patriotyzmu. Skłócanie, napaśczenie wzajemne na siebie ludzi – nazywano ożywieniem ducha wiary. Unicestwienie wymyślonego przeciwnika – obroną energii boskiej, ochroną wiary. Hamowanie ludzkiego myślenia, tępienie samodzielnych wniosków – pokorą wobec tajemnicy boga. Rozbijanie samości człowieka określano jako spowiedź, czyniąc podstawowy obowiązek z donoszenia na siebie i innych.

Chrześcijaństwo jako odłam judaizmu miało stonować metody walki okrutnego ojca ze Starego Testamentu i wprowadziło miłosierdzie jako

łagodniejszą formę udręki ojca z Nowego Testamentu. Poprzez cierpienie wewnętrzne poszerzało się jedynie pole walki człowieka.

Obrzeża Europy, na początku I wieku n.e. mające już swoich bogów, przywykłe do instytucji nadezłowieka, z oporem, ale dość szybko przystały na nowego boga – ojca.

Słowianie zaś, bez swarów pędzący życie – nie rozumieli zachęty do przyjęcia zwierzchności nad sobą. Słowian nie interesowały błyskotki władzy królewskiej ani miraż postaci boga. Od tysięcy lat twardo stali na ziemi, żyli w zgodzie ze sobą i naturą. I oto konflikt mieli uznać za lepsze prawo życia. Milczenie kronik przez całe wieki na temat Słowian nie jest dowodem braku ich obecności w Europie, a jedynie świadectwem, że był to lud nie zwyciężony, bo przez tysiąclecie mocny jednością, spójny wewnętrznie. A jeśli niepokonany – cóż było pisać o klęsce wojów. Zostało więc szydercze milczenie i pogardliwe epitety pod adresem Słowian: kraina barbarzyńców, prymitywni poganie.

O krwi przelanej za tę ziemię, o męstwie i hardości tubylców słowiańskich nie wspomina się, bo to największy wstyd cywilizowanych wojowników: nie móc pokonać przeciwnika, o którym się mniema, że głupszy i słabszy. Nie umie grać, intrygować, ale zwycięża. Hardo oddaje krew, życie, a nie zdradzi swojej ziemi, ni braci. By pokonać proste prawa Słowian, trzeba było rzeszy kapłanów i zakonników nowego boga. Wieków benedyktyńskiej prowokacji i szantazu dominikańskiej krwiożerczości, zbrodniczego wyrafinowania jezuitów, by mądrość wewnętrzną Słowian zdławić, przymusić do przyjęcia pozoru, czyli boga, za fakt rzeczywistości.

Biskup, rada przyboczna kapłanów, biskupów, wyróżniki: arcybiskup, metropolita, patriarcha, egzorcysta – to wszystko powstało już w pierwszych gminach chrześcijańskich. Ci ustanowili siebie stróżami życia i obyczajów, sędziami w sporach prywatnych. Siedem sakramentów św. dyscyplinowało życie wiernych. Dni zaś uznane za święte i nabożeństwa utwierdzały powagę sztucznie stworzonej hierarchii. Msza kodowała niezbędność cierpienia, ofiary w postaci obowiązkowych darów dla pasterzy duchowych. Biskup – sędzia w sporach prywatnych – to stanowisko do osądzania: co jest słuszne z pozycji wiary, a co grzeszne. Za najcięższe grzechy uznano: bałwochwalstwo, morderstwo i rozpustę. Chrześcijaństwo, wyrosło na cudzej ziemi – bogów gospodarzy uznało

za przejaw bałwochwalstwa. Swojego boga i bogaty ceremoniał nazwało liturgią, eucharystią. Z najcięższych grzechów wrogów – chrześcijanie uczynili własne przymioty. Sztandar z krzyżem, wizerunkiem Jezusa lub męczennika niósł śmierć milionom niewinnych ludzi. Dozwalał na niewolenie, gwałty, rozpustę, mordy błogosławione ręką najwyższych zwierzchników Kościoła. Majątki grabione ofiarom były celem pierwszym działalności misyjnej.

Wszędzie gdzie powstawały forteczne klasztory, strażnicy wiary skrywali tajemnice boga. Całe armie nadludzi nie oddawały się pustelniczym rozważaniom czy aktom miłosierdzia, a poprzez różne formacje zakonne śledziły wszelkie przejawy życia zewnętrznego i sterowały nimi.

Duchowni stratedzy planowali bitwy, opracowywali konflikty. Chrześcijaństwo sprawiło, że cała Europa wraz z przyjęciem wiary zaczęła dławić się krwią. Choć słowa opływały miłosierdziem, kontynent był rozdarty między zwalczające się narody. Scałał to jedynie oddech papieża i dążenie: pomnażać masy, dzielić ludzi, by rdzenna myśl o uniwersalnych prawach w narodach zamarta.

Co się udało w całej Europie, nie wychodziło z hardymi barbarzyńcami znad Wisły. Ci w gęstych borach żyli zgodnie, bez żadnych bogów i hierarchii ludzkich. Rządcy świata, zwani bogami, bez dopływu krwi nowej nieśmiertelności tracili. Chrześcijaństwem, najskuteczniejszym środkiem walki, postanowili opanować centrum Europy.

Najzręczniejszym kapłanom i zawziętym wojownikom dzieło złamania Polanina powierzono. By zgoda – choćby kilku jednostek – nie jednocyta, nie zbudowała skutecznej opozycji wobec boga i nie ujawniła całej mistyfikacji.

Herezje, schizmy, reformacje to zżeczenie rozpalane podniety walki, tworzenie sobie tzw. zagrożenia, wroga interesu boga. Intrygi i szpiegostwo mogą wówczas zyskiwać na sile. I tak się toczy życie pozorne. Ci dyskutują, owi spierają się o racje. Bezsensy uzyskują miano rzeczywistości. Cieną miliony, a wierni wznoszą w podzięce modły do zbrodniarzy.

Rządcy świata zżeczenie prowadzili na Ziemi boską batalię. Lecz czy na koniec nie ograli siebie samych? Oto światli mężowie przez siedemnastą wiek pochyłali uczone głowy, wiedli dyskusje, spory, walczyli orężem o istotę trójcy św. i ducha św. – wyniszczyli podrzuconego z innej planety. Diabelską zaiste definicję podsunęto kapłanom, skoro tyle głów

Kościół zaangażował w kłótnię nad istotą ducha św. Deliberując, walcząc przez stulecia, nie dostrzegali swej śmieszności. Dzieło pozorne, którym się zajmowali, w końcu dla wielu stało się prawdą. Rzeczywistość obok nich przeciekała, a ci o kolejnych bataliach marzą. Śmieszność kapłańska mniejsza przez to nie bywa, że w pawie pióra obleczone.

Mąż niby mądry
A dziwne suknie przywdziewa
Ułudę teatru w kościele tworzy
Słowa pokretnie z ambony głosząc
Twierdzi, że boski interes załatwia.
Kimżeś jest kapłanie?
Co zwyczajnemu człowiekowi
Nie prosto nie powiesz?
Jeno nienawiść rozsiewasz.
W rozumach maciesz
zgodę chcąc zbrukać

Naród zmęczony swarów ma dosyć
Do zgody rękę wyciąga
Pamięć tej ziemi powraca ludziom

Nie mąć kapłanie wzniośle nadęty
Próżne twe sianie niezgody
Już nie napuścisz ludzi do walki

CIIRZCZENI OGNIEM I MIECZEM

Europa środkowa była, według kronik, miejscem najdłużej porośniętym borami. Najstarsze zapisy dziejów ludzkich na tym terenie liczą sobie ledwie 1000 lat. Rozpoczynają się od wprowadzenia chrześcijaństwa, czyniąc wrażenie, że barbarzyńska ludność znalazła się w tym miejscu tuż przed własną chrystianizacją. Skąd prymitywni poganie mogli nagle pojawić się w centrum Europy i mimo naporu silniejszych społeczności utrzymać terytorium – tego kroniki nie wyjaśniają.

Jeżeli środek Europy był terenem przepastnych borów – to musieli nęcić waleczne ludy z obrzeży kontynentu. Te, zanim narzuciły chrześcijaństwo Słowianom, przez tysiące lat budowały swoją wielkość. Zdobywały coraz to nowe tereny. Wznosiły miejskie cywilizacje. Powoływały do istnienia różnorodne bóstwa i kolejnych bogów, by utwierdzić swą immość i lepszość wobec drugich. Wiara w enigmatycznych stwórców pozwalała na utrzymanie mniemań o własnej wyższości w stosunku do niewierzących.

Około 2000 lat temu do Europy wtargnęło chrześcijaństwo. Początkowo działające jako sekta judaizmu – bardzo szybko stworzyło w Rzymie olbrzymi aparat administracyjno-kultowy nowej wiary. Idea religii wybranej do rządzenia światem uskrzydlała chrześcijan. Chrystianizacja w swym założeniu miała opanować nie tylko Europę, ale cały świat.

Mechanizmy władzy wynikają z różnicowania interesów grup, społeczności, narodów. O władzy stanowią odrębność zachowań i trybu życia jednostek ją sprawujących. Pozycję pasożytujących zarządców umacnia walka. I odczyt chrześcijaństwo od pierwszego technienia posługiwało się mitem. Ogniem wypalało swoje racje. Walka jest nieodzowna w sianu niwypokoju, budzeniu lęku. Ten ostatni okazuje się niezbędny do wprowadzenia boga i utrzymania wiary w jego wielkość.

Wraz z umacnianiem się w Europie władzy judeochrześcijańskiej ze skutkiem w Rzymie rosta w siłę również władza świecka narodu germań-

skiego, drugiego wybrańca „opatrzności” do rządzenia światem. Posłannictwo germańskie przez wieki ścierało się z posłannictwem judeo-chrześcijańskim – szczególnie na ziemi polskiej. Wielokrotnie wrodoży sobie władcy jednocyli się, by skutecznie osłabić Polskę. Posłannictwem chrześcijan było opanowanie ducha ludzkości swą religią, posłannictwem Germanów zaś – utworzenie rasy „nadludzi”, którzy zgodnie z własnym interesem zorganizują życie na Ziemi.

Spisane dzieje Polski rozpoczynają się wraz z chrześcijaństwem, i jest to tysiąclecie historii krwią pisanej.

W X wieku pojawiła się polska dynastia Piastów z jej pierwszym księciem – Mieszkim. Ta „rodzima” dynastia oznaczała dla Słowian obcy organizm wśród Polan.

Jeszcze w czasach biblijnych jedno z 12 plemion Jakuba – Izraela rozplynęło się po świecie. To ono dało początek najstarszym rodóm ary-stokratycznym i dynastiom Europy. Pojawiali się jako mędrcy, podejmowali się, pod pretekstem opieki, nauki uzdolnionych dzieci, asymilowali się ze Słowianami.

Dynastia piastowska wywodzi się od takiego opiekuna. Piast nie jest imieniem, oznacza piastuna, opiekuna. W historii znane były wypadki, gdy dynastie królewską rozpoczynał wychowawca dzieci książęcych.

Mieszko pojawił się w Polsce pod imieniem Dagome. Dago po łacinie znaczy klinga, ostrze noża – i taka była rola człowieka, który wprowadził kłingę chrześcijaństwa w lud słowiański. Przed śmiercią Mieszko sporządził dokument *Dagome nudex*, w którym oddał państwo gnieźnieńskie pod opiekę Piotrowej Stolicy Apostolskiej. Wcześniej przesłał papieżowi włosy syna Bolesława (Chrobrego) jako znak oddania go w opiekę Stolicy Apostolskiej.

Powszechnie uważa się, że Polska przyjęła chrzest w 966 roku za panowania Mieszka. A przecież około 60 lat wcześniej książę pogański Wiślan – Leszek zmuszony został do przyjęcia chrztu w obrządku bizantyjskim.

Chrzest stanowił sygnał: na ziemi polskiej ruszyli obcojęzyczni misjonarze, najczęściej benedyktyni, wprawieni czterystuletnim niewoleniem ludów zachodnich prawem boskim.

Misjonarze pojawili się w gajach dębowych Słowian – niszczyli miejsca kultu. Stawiali tam krzyże, ołtarze i kaplice. W takiej akcji zginął

misjonarz Wojciech w Prusach. Wbrow woli miejscowej ludności: postawił krzyż i odprawiał msze – upór przypłacił śmiercią. Napastnik ingerujący w życie pogan – Wojciech – zyskał miano męczennika i świętego. Został pierwszym patronem Polski. Kult św. Wojciecha wprowadzono dla celów politycznych – by niewolić wiarą Polaków.

Mieszko I i Bolesław Chrobry przymusili Polan do przyjęcia wiary. Sprzeciw ludności traktowali jako powstania pogańskie. Swoich dręcząc opieką i fundacjami obdarowywali obce duchowieństwo. Wykształcili w zachodnich kolegiach pierwszych polskich zakonników. Benedyktyni jako doradcy i spowiednicy królewscy mieli pieczę nad wszystkimi tajemnicami młodego państwa, przekazywali je papieżowi.

Zadaniem duchownych doradców było: rozniecanie ambicji książąt, pragnień, marzeń o władzy, koronie, podbojach. Rywalizacja i zawziętość ułatwiały osłabianie sporami młodego państwa chrześcijańskiego.

Książęta piastowscy stawali się okrutni i bezwzględni. Wszczepiana im ambicja oraz przymus konkurowania sprawiała, że rozgorzały walki. W ten sposób zabijali brata, by przejąć kawałek ziemi. Za gwałtowne czyny wyrzekał się pokuty. W konsekwencji powstawały świątynie, klasztory. W pokucie oddawano majątki na rzecz Kościoła.

Ludność buntowała się przeciw chrześcijańskiej niewoli. W latach 1010–1019 nasiliły się walki. Polanie chcieli żyć w zgodzie z drugim pokoleniem. Bóg chrześcijan okazał się tworem rozrywającym naturalną więź między ludźmi, rozbijał jedność, wprowadzał we wszystko konflikt. Cudły jednak Słowian nauczone walczyć – zaczęli palić obce tej ziemi kościoły, klasztory. Zabijali zakonników: najpierw pod wodzą Bezpryma, potem Bolesława Zapomnianego – syna Mieszka II i Słowianki Dobrawy.

Bolesław Zapomniany przez trzy lata przeprowadził rewolucji pogańskiej. Na Kościół doprowadził do jego śmierci. Następnie wymazał tego z kronik i pamięci narodu. Choć był pierwotnym synem króla Mieszka II, został wykluczony z pocztu królów i książąt Polski.

W 1047 roku pod Płowcami ginie Masław, książę mazowiecki, obrońca słowiańskiej ludności słowiańskiej. Sprawili to Kazimierz Mnich Odnawiciel, biskup pruski Masławowi wezwał wojska ruskie. Wincenty Kadłubek, historyk Kościoła, kłamliwie opisał śmierć Masława: „obdarty ze

skóry, powieszony przez własnych stronników" - a wszystko po to, by lud zapomniał o swym obrońcy i bohaterze.

Zniszczoną walkami Polskę odnawia Kazimierz na zasadach chrześcijaństwa, tzn. wyniszczając korzenie słowiańskie. Za zasługi dla Kościoła, za zbrodnie na własnym narodzie otrzymuje zaszczytny przydomek „Odnawiciel”.

Bolesław Śmiały (1058-1081), zwany Szczodrym za swą hojność wobec Kościoła, nie doczekał się wdzięczności.

Konflikt króla Bolesława Śmiałego z biskupem Stanisławem ze Szczepanowa jest przykładem cynicznego fałszowania historii dla dobra Kościoła. Ze śmierci duchownego, ukaranego za zdradę króla, uczyniono in-cydent męczeństwa. A zbrodniarza wyniesiono na ołtarze. Nie pierwszy i nie ostatni to raz Kościół przestępstwo przerabiał na uświęcone dzieło kościelne, wprowadzane przez papieża Grzegorza VII. Uwikłany przez Kościół w wiele zewnętrznych sporów, mimo wewnętrznych knotań ra-dził sobie z problemami. Odnosił kolejne sukcesy.

Stanisława ze Szczepanowa król otaczał szczególną opieką: wspo-magał w karierze materialnej i duchowej. Pomógł w uzyskaniu biskupstwa krakowskiego, dzięki czemu ten osiągnął potęgę finansową. Ambit-nego i zawistnego Stanisława to nie satysfakcjonowało. Król drażnił bi-skupa niezależnością, nieskrępowaną radością życia. Po otrzymaniu bi-skupstwa krakowskiego Stanisław wraz z biskupem niemieckim Ottonem i Sieciechem stworzył opozycję przeciwko Bolesławowi. Biskupi nasta-wiali lud przeciw królowi. Skłócali oddane mu rycerstwo. Podjudzali przyjaciół, również żonę władcy. Judytę nastawiali przeciwko Bolesławowi, Stanisław, czując się zupełnie bezkarny, wyłudzał od ludzi majątki (spra-sumieniu, tym bardziej króla o „grzeszne życie” oskarżał. W czasie wy-prawy kijowskiej Bolesława biskup Stanisław wspólnie z Sieciechem, wspie-rani przez stronnictwo niemieckie Władysława Hermana i późniejszego króla Czech, chcieli zdeponować władzę polskiego. Bolesław ukarał surowo zdradę swoich rycerzy. Biskup Stanisław, nie pociągnięty do odpowiedzialności, stanął w obronie zdrajców. Trawiony ślepą zazdro-ścią wkrótce znalazł następny pretekst do zaatakowania króla.

Bolesław z wyprawy kijowskiej przywiózł piękną brankę Lenę, w zapi-sach znaną pod imieniem Krystyna. Ta rozmiłowana była w królu, co wściekłość biskupa wywoływało okrutną. Sam był jurnym samcem i chciał jej wdzięków pokosztować. Branka jednak nieczuła pozostała na bisku-pie zaloty. Stanisław podstępem ją do siebie zwał i okrutnie ciało jej okaleczył. W ten sposób chciał wziąć odwet na królu. I pokazać mu siłę Kościoła. To przpełniło miarę. Król postawił biskupa przed sądem, za-rzucając mu wiele przewin, oszustw, zbrodni, zdradę państwa, a także okrucieństwo zadane niewinnej kobiecie. Sąd skazał biskupa na śmierć. Król dopilnował wykonania wyroku, a nie – jak podaje Kadłubek – sam zabił Stanisława.

Sprawę natychmiast wykorzystał Sieciech. Doprowadził do spisku. Prawowity władca Bolesław, jego żona i syn Mieszko musieli uciekać na Węgry. W klasztorze benedyktyńskim w Osjaku król został skrytobójczo zamordowany. Zyskał brat Bolesława – Władysław Herman, nowy wład-ca. Po przejściu rządów wprowadził politykę proniemiecką i prokościel-ną. Duchownych polskich wymieniał na niemieckich. Z Węgier sprowa-dził Mieszka i otrut go. Jak podaje Gall Anonim – lud płakał po otrutym synu Bolesławowym, bo człowiek to był szczególny.

Większość niecnych czynów politycznych Władysława Hermana – to wynik podpowiedzi doradcy, biskupa bamberskiego Ottona.

W 1253 roku papież Innocenty IV kanonizował biskupa Stanisława. Kronika Wincentego Kadłubka posłużyła za dokument heroicznej świę-tości Stanisława i niezwykłych zasług jego dla Kościoła. Kościółowi nie przeszkadzało w uświęceniu Stanisława, że współcześnie żyjący z bisku-pem kronikarz Gall Anonim pisał o nim: „traditor” – czyli zdrajca. Tak Polska otrzymała przestępcę za patrona. Naród, modląc się do takiego „świętego”, przyzwala na prawo Kościoła do zdrady.

Kościół budował swoje dogmaty na absurdalnych sprzecznościach, „prawdzał” w ten sposób stopień otępienia wyznawców.

Jak bardzo udało się Kościółowi zaślepić katolickie narody – świad-czy fakt, że za wyróżnienie przyjmują miano baranków, które to zwierzę-ta uchodzą za symbol głupoty. Wyznawcy nie widzą, jak w rzeczywistości pasterz traktuje stado: zabierając mu wełnę, mleko, w końcu prowadząc je na rzeź.

Do czasów Bolesława Krzywoustego powoli, ale konsekwentnie rozprzestrzenia się sieć organizacji kościelnych i zakonnych w Polsce. Był to skuteczny wzrost znaczenia i wpływów Kościoła, należało osłabić władzę monarszą.

Wykorzystywano do tego celu liczne potomstwo książąt. Wszyscy synowie Bolesława byli otoczeni doradcami zakonnymi, którzy podpowiadali konflikt, kłótnie, walki.

Od śmierci Krzywoustego rozpoczyna się dwa wieki trwające rozdrobnienie dzielnicowe. Mieszanie się do polityki między pięciu synów Bolesława i ich następców stanowiło podstawowe zajęcie biskupów. Arcybiskup Jakub ze Żnina doprowadził do wygnania pierworodnego syna Bolesława Krzywoustego – Władysława II, co znalazło też wyraz w przydomku księcia-seniora. Biskup krakowski Gedeon sprawił wygnanie trzeciego syna Bolesława – Mieszka Starego.

Katolicki komentator rozbitcia dzielnicowego Polski, ks. Roman Archutowski, tak opisuje te fakty: „W tych czasach jedynie Kościół przez swą hierarchię łączył cały naród. Liczne synody biskupów i duchowieństwa pod kierownictwem arcybiskupów gnieźnieńskich lub legatów papieskich ogłaszały wiele ustaw religijnych i świeckich, a tym samym utrzymywały porządek w państwie”.

Sporowokowanie konfliktu, rozbitcie jedności, wyciągnięcie z owego stanu rzeczy wszelkich możliwych korzyści, zalegalizowanie zbrodni to nazywa się „utrzymywaniem porządku w państwie”.

Ostatni syn Bolesława Krzywoustego, Kazimierz, za swoją uległość wobec możnowładztwa i duchowieństwa nazwany zostaje Sprawiedliwym. Przydomek ten nadaje mu biskup Kadiłbek, który idealizuje Kazimierza i wielkie jego zasługi dla kraju. Glorifikacja pośledniego władcy stawia go niezasłużenie w rzędzie wybitnych polskich panujących.

W XII wieku, za Kazimierza Sprawiedliwego, duchowieństwo było już potęgą finansową. Kościół zdobywał coraz większą niezależność i autonomię. W 1180 roku w Łęczycy ośmiu biskupów wymogło na Kazimierzu Sprawiedliwym rezygnację z wielu uprawnień władzy książęcej. Rok 1207 – to okres największego ograniczenia suwerenności Polski. Leszek Biały pod wpływem arcybiskupa gnieźnieńskiego oddaje Polskę pod „protekcję” papieża i otrzymuje ją z powrotem jako lenno.

W 1215 roku Leszek Biały i Konrad Mazowiecki uznali swobody Kościoła, zwolnili duchowieństwo od sądów świeckich oraz wyrazili zgodę na wybór biskupów bez udziału władzy świeckiej.

Niespełna 200 lat chrześcijaństwa wystarczyło, by rozbić kompletne wspólnotę słowiańską. Polacy otrzymali obcy „wszczepek” w postaci króla i społeczeństwo podzielone na wrogie klasy. Szlachta, stworzona jako klan lepszych, stała się pasożytem klasy żywicieli, osaczona przez doradców duchowych, stanowiła posłuszne narzędzie zakonnych intryg. Ambicje oraz przesadne wyobrażenia z jednej strony i poczucie winy z drugiej – to schemat wychowawczy szlachecka, odbierający mu człowieczeństwo. Tak ukształtowana jednostka była stale gotowa do buntu i walki. Potwierdziła to cała późniejsza historia Polski.

Misjonarze, zakony, biskupi uczynili ze Słowian niewolników idei i bogów – sprawili, że z ich trudu i skłócenia korzystali ziemscy pośrednicy bogów, czyli duchowni.

Kościół umocnił prawami boskimi własność prywatną, którą przejął od innych. Kobiety uczynił własnością mężczyzny.

Słowianie do pojawienia się chrześcijaństwa nie znali pojęcia: własność. Ziemia należała do wszystkich. Nie znali również pojęcia własności człowieka. Nie funkcjonowało prawo dziedziczenia. Z ojca na syna przechodziły tylko narzędzia pracy i praktyczna wiedza. Wspólna praca, wspólne plony wzbogacały cały ród. Praca była naturalnym obowiązkiem i korzystali z jej wyników wszyscy według potrzeb.

Wprowadzenie w życie społeczne pieniądza, głównego pośrednika wymiany dóbr, stało się okazją do oszustw i przywłaszczania za jego pomocą dorobku pracy innych. Z upływem czasu wraz z rozrastaniem się gospodarki towarowo-pieniężnej pieniądź-pośrednik zaczął żyć własnym życiem, stał się kolejnym bogiem i uzależnił człowieka od siebie i ukowicie.

Po śmierci Krzywoustego kraj, za przyczyną Kościoła, był osłabiony brutalnymi walkami, rozbity na skrócone dzielnice. Grupa biskupów rozprządała swoje prywatne interesy rękami potomków Bolesława. A jednak wtedy jeszcze, mimo licznych konfliktów, naród polski wciąż dążył do zgody i jednoczenia. Antagonizmy podsyćcane przez różne działania zakonne po jakimś czasie wygasły.

Dopiero wprowadzenie do Polski kolejnego zakonu, a właściwie hordy najemników rycerskich zwanych Krzyżakami, umocniło strategię Kościoła w kraju. Dało podwaliny państwa zakonnego.

W 1226 roku Konrad Mazowiecki – wpuk Krzywoustego – za radą duchownego osadził na ziemiach polskich Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego. To pełna nazwa Krzyżaków, a zarazem przykrywką fałszerstw i zbrodni, popełnianych przez rycerzy-zakonników. Krzyżacy w Polsce bardzo szybko urosli w potęgę. Stanowili regularną armię. Lubowali się w gwałtach i rzeziach. Napady, grabieże, mordy, tortury ludności słowiańskiej, niewolenie prawowitych właścicieli, fałszowanie dokumentów własności – to ich praktyki codzienne. Ich miłość do boga, wyrażana ofiarami ludzkimi, przyniosła im papieskie błogosławieństwo. Rycerze z najświętszą Marią na ustach i oznamym krzyżem na szatach (podstawowe symbole chrześcijaństwa) nieśli człowiekowi najokrutniejsze tortury i śmierć.

Bezwzględne metody walki późniejszych systemów totalitarnych, sposoby unicestwiania człowieka przez służby specjalne i mafie swój rodowód wywiodły między innymi z Zakonu Marii Panny, czyli Krzyżaków.

Za panowania Bolesława Wstydliwego w latach 1243-1279 kraj stał się terenem kolonizacji dla Niemców i Żydów posługujących się prawem magdeburskim. W 1257 roku księgi miejskie Krakowa pisano w języku niemieckim. Patrycjał większych polskich miast był niemiecki. Polska ulegała germanizacji, co w konsekwencji doprowadzało do uszczuplania skarbcza kościelnego. W tej sytuacji biskupi, którzy wcześniej wprowadzali zachodnich kolonizatorów, teraz zaczęli „bronić” polskości. Wywierali przez kler niemiecki i osadników czuli usuwający się grunt.

Arceybiskup Jakub Świątek w 1285 roku na synodzie w Łęczycy przeprowadził zakaz nadawania cudzoziemcom dostojenstw kościelnych i probostw. Okierowników szkół kościelnych zazaądał znajomości języka polskiego. Klasztorom groził odebranie fundacji, gdyby nie przyjmowały Polaków. I oto duchowieństwo, które najpierw dało władzę królewską poganom, a następnie doprowadziło do jej rozbitcia, rozdrobnienia dzielnicowego, zubożenia ludności rdzennej, uzależniło od siebie władzę świecką (doradztwo, spowiedź), teraz z kolei zaczęło walczyć o polskość. Pokrętna polityka Kościoła w Polsce i Europie to część realizacji „planu boskiego”, gdzie każdy duchowny podległy papieżowi

musiał wypełniać w Polsce zbrojne dzieło ubezwłasnowolnienia narodu taką oto metodą: Rozbiję was, skłócę, niepostrzeżenie sprowadzę biedę, odbiorę wam wiarę. Wtedy przyjdę głośno głosząc miłosierdzie. Zjednoczę was wiarą. Tym zniewolonemu katolicyzmem narodom i patrona zdrając, byście za jego przykładem nie zaprzestawali walki, niezgody, zdrady.

Za panowania Władysława Łokietka (1261-1333) rozszerzenie wpływu Kościoła przejawiało się zapaleniem pierwszych stosów inkwizycyjnych. Zakonem rozniecającym owe stosy byli dominikanie – powołani do strażnicy czystości wiary w 1215 roku. Już w 1223 roku biskupstwo Olsztynskie sprowadziło ich do Polski. Podczas rozbitcia dzielnicowego szybko doszli do ogromnych majątków. Piastując urząd najwyższych inkwizytorów oczyszczali ludzkie myślenie z herezji, czyli samodzielnosci, i z bluźnierstw, czyli odwagi. Wtłoczyli w człowieka hipokryzję, pokroćność, kombinację, konformizm, uległość wobec fałszu. Zamęczyli lub palili żywą myśl.

Hasło czystości wiary dawało w gruncie rzeczy pełnię władzy nad człowiekiem. Taka była cena papieża za przyznanie prawa do korony Władysławowi Łokietek, który chciał podjąć próbę zjednoczenia rozbitych dzielnic Polski w jedno państwo, zgodził się na tę szatańską propozycję. Zręczny strateg, konsekwentny w działaniu, borykał się z niezwykłymi trudnościami. To, że zostawił swojemu następcy państwo złożone z Małopolski, Wielkopolski i części Kujaw – graniczyło niemal z cudem. Przez cały czas panowania Łokietek był nękany przez Krzyżaków i uwikłany w walkę o Pomorze. Na południu zmagał się z Wacławem czeskim. Większość walk, które musiał prowadzić Łokietek, to zasługa zdrad i knońskich intryg. Biskup układał się zarówno z Luksemburczykiem, biskupa Jana Muskaty. Biskup układał się zarówno z Luksemburczykiem, jak i Krzyżakami, by tylko nie dopuścić do wzmocnienia i zjednoczenia Polski. Jego „zasługą” były też wewnętrzne bunty rycerzy bądź innych grup ludności. Łokietek musiał wielokrotnie uciekać z kraju dzięki „owocnym” knońcom biskupa Muskaty.

Kronikarze opisujący dzieje Polski od początków jej istnienia do końca średniowiecza – to ludzie zakonnicy na usługach Kościoła. Ich relacje o panowaniu poszczególnych królów czy książąt, jak i przydomki nadawane władcom były uzależnione od poddaństwa Kościołowi. Jeśli rządzący

wilejami kościelny dziejopis przy jego imieniu dopisywał Sprawiedliwy, Odnawiciel, Wielki

Kazimierz Wielki potrafił się układać z Kościołem jak dobry handlowiec. Dbał jedynie o wspólnotę interesów z najwyższą hierarchią Kościoła – zyskiwał dzięki temu bezkarnosć. Korzystał z tego, że każdy grzech lub zbrodnię dało się odkupić. Tak z odkupienia win (a było ich wiele, bo Kazimierz urok i radości życia doczesnego cenił bardzo wysoko!) powstał podziwiany „kazimierzowski gotyk” i jego kościoły „baryczkowe”. Fundacja kościołów „baryczkowych” wiązała się z zabójstwem księdza Baryczki, który na polecenie biskupa Bodzanty publicznie przekazał królowi biskupie połajania. Należy to uznać za przemyślany akt polityczny. Znając brak pokory i ambicję króla – wiadomo było, że ksiądz wysłany został na pewną śmierć. Ale śmierć stanowiła najpewniejszy środek wymuszania kolejnych świadczeń i ustępstw królewskich. Król grzeszył. Za jego grzechy płacił naród, bo fundacje pochodziły z trudu całego społeczeństwa.

Instytucja kar i nagród okazała się najlepszym pomysłem zapewnianym dochód bez kalania się pracą. Służyła do przechwytywania zysków i procentów wytworzonych przez innych i była źródłem zubożenia narodu. Państwo Kościelne posługując się intrygą i zdradą, nie gardząc też wyłudzeniem, stało się największym potentatem kapitałowym na świecie i tak oto uświęciło kolejną wartość pozorną – czyli pieniądź. Obdarowując pieniądź atrybutem boga uczyniło zeń obiekt uwielbienia i zarazem narzuciło wymóg walki o niego.

System finansowy utwierdził w jednostkach posiadających umiejętność manipulacyjnego pasożytnictwa. Pracę zostaw i jako przeznaczenie stada – korzyści; oddał w ręce pasterzy. Chrześcijaństwo usankcjonowało grę. Nie umiesz grać, nie chcesz intrygować – twoje miejsce jest w stadle.

Mecenasi sztuki, dobroczyńcy Kościoła, feudałowie świeccy i duchowni – nigdy nie pracowali. Samodzielnie nie czynili niczego na rzecz drugiego człowieka. Ofiary swoje składali kosztem innych. Uzależniali i niewolili poddanych. Ziemię przejmowali dzięki sprytnym zabiegom. A lud ograbiony zmuszał do pracy, płacenia dziesięciny duchowieństwu, świętopietrza Rzymowi i należności właścicielowi ziemi.

Kościół katolicki raz wślizgnąwszy się do Polski szybko powiększał swoją własność. Falszerstwa dokumentów, przywilejów i nadań książęcych należały do zwyczajowych praktyk. „Autentycznych dokumentów książęcych przechowało się z XII wieku trzy, podrobionych na imiona książąt zaś siedemnaście” (wg Wojciech Kętrzyński, *Studia nad dokumentami XII wieku*, Kraków 1891, s. 107). Pod koniec wieku XII dyplomatyka polska bądź Polski dotycząca obejmuje 150 pozycji, z czego 46 to dokumenty przez Kościół i w jego materialnym interesie sfalszowane.

Wszystkie dokumenty sporządzone w tych czasach były pisane przez sługi Kościoła po łacinie. Przykład szedł z góry. Watykan – kościelna organizacja państwowa – powstał również z oszustwa i walki. *Donatio Constantini*, dokument cesarski, mocą którego cesarz Konstantyn miał darować Kościołowi rozległe ziemie Italii, to falszyfikat.

Podobną metodą budowało się pospiesznie państwo rzymskokatolickie w Polsce. Testamenty spisywali jedyni piśmiennicy w kraju, zatem duchowni. Wymuszanie darowizn weszło w zwyczaj, tak że dla zbawienia duszy i połowa spuścizny była zapisywana na cele kościelne. Arcybiskupstwo gnieźnieńskie początkowo przyjęło 149 osad wiejskich. W XIV wieku miało już 11 miast i 330 wsi.

Okazało się, że chrześcijaństwo – idea zbudowana w całości z mistyfikacji – stało się intratną koncepcją wygodnej egzystencji. Ci, którzy szybko przejmowali reguły boskiej gry – sprytni falszerze, bezwzględni naciągacze, bezkompromisowi intrygantów, nie wahający się zdradzać – wspinali się na szczyty władzy. Za swoją nieuczciwość zyskiwali możliwość osądzania innych, karania win domniemyanych. Oszczerstwa, rzucane bez skrępowań na przeciwnika, pozwalały pozostawać zdrajcom poza rozliczeniem. Immunitet autorytetu Kościoła rozprzestrzeniał przywileje państwa, prowadząc do unicestwiania żywiciela.

Ponad 40 lat rządził Polską i Kościołem biskup Zbigniew Oleśnicki. Zręczny taktik z prawdziwym instynktem władzy precyzyjnie i celnie manipulował królowi, powodował większością decyzji Władysława Jagiełły, przejął ster rządów za Warneńczyka, dopracował się kapelusza kardynalskiego za Kazimierza Jagiellończyka, który wprowadził biskupa odsunął od wpływów, ale manipulacji nie ukrócił.

Oleśnicki konsekwentnie budował zwierzchność Kościoła w Polsce, ograniczał wpływy władzy królewskiej. Rękami samego Jagiełły pogrzebił urząd królewski.

Złamanie potęgi Krzyżaków, rozbięcie kilkunastu tysięcy zbrojnych rycerzy, śmierć mistrza i dostojników zakonnych – to mogło uwolnić Polskę od groźby krzyżackiej. Dzieło Jagiełły spod Grunwaldu w 1410 roku, do którego król w wielkim trudzie kraj i wojska przygotował, za przyczyną Oleśnickiego poszło wniwecz. Kapłan zadbał, by pokonani Krzyżacy złożyli niewielkie zobowiązania pokojowe, a i tak ich nie spełnili. Oleśnicki jako sekretarz królewski tak sterował pokojowym układem, by Krzyżacy posiadłości swych nie oddali i nie ponieśli strat finansowych.

Spontaniczne wsparcie dla Jagiełły ze strony Rusinów, Litwinów, czeskich husytów, oddziałów tatarskich – pokazało, że Władysław Jagiełło potrafił jednoczyć ludzi. Ze zgody mogła płynąć siła i popularność władcy. Potwierdziła to praktyka: czescy husyci i Związek Pruski zgłosili chęć przyłączenia się do królestwa Jagiełły, lecz Oleśnicki nie dopuścił do utworzenia takiej wspólnoty. Bez skrupułów knuł przeciw jednności to z możnowładcą polskim, to z Zygmuntem Luksemburczykiem, to z Krzyżakami, mając pełnomocnictwa do prowadzenia pertraktacji. Polska interesowała go wyłącznie jako baza rozszerzania i umacniania własnej władzy. Konsekwencją była uległość Polski wobec Zakonu – przyzwolenie na długie lata grabieży ziem polskich i Litwy przez Krzyżaków.

Biskup Oleśnicki nieustępliwie zwalczał reformatorski ruch husytów. Rozprawiał się bezwzględnie z myślącymi inaczej niż katolicy. Przeciwdziałał się ostro wszelkim prócom działania husytów na rzecz Polski. Doprowadził do przymierza Władysława Jagiełły z żarliwym obrońcą Krzyżaków, Zygmuntem Luksemburskim, gwarantując tym samym pomoc w zwalczaniu husytów. Zasady husyckie uznano za zbrodnie i karano je jako herezję.

W 1454 roku Związek Pruski zwrócił się z prośbą o włączenie Prus do Polski. Wierny sługa Kościoła Oleśnicki zaproponował i nie dopuścił do zjednoczenia. Prusy do Polski przyłączyły się dopiero wówczas, kiedy Kazimierz Jagiellończyk odsunął Oleśnickiego od doradztwa.

Po śmierci Władysława Jagiełły w 1434 roku władzę przechwytili możnowładcy pod wodzą biskupa Zbigniewa Oleśnickiego i jego brata Jana. Biskup Oleśnicki realizując program Kościoła unicestwił ruch hu-

sycki. Zdławił tym samym rodzącą się samodzielną myśl ludzką. Politycznie podporządkował Polsce Litwę – co było złamaniem wspólnoty na rzecz ingerencji i zwierzchnictwa jednego z członków. Osłabił skutecznie władzę królewską, wprowadzając rządy duchowieństwa. Dążył do elekcyjności tronu polskiego, by mieć możliwość korzystnego handlu tronem w prowadzonej polityce zagranicznej.

Królem formalnie wybrano dziesięcioletniego Władysława. Rządy sprawowała rada królewska braci Oleśnickich. Gdy Władysław osiągnął pełnoletność, posadzano go na tronie węgierskim. Dzięki temu przedłużył się okres regencji Oleśnickiego. Władysław Warneńczyk, wychowany na ultrakatolika, miał na względzie głównie interesy Kościoła. Na polecenie Rzymu, wsparte argumentacją Oleśnickiego, zorganizował wyprawę antyturecką. W 1444 roku po zwycięskich walkach podpisał pokój z Turkami. Przyjmując warunki pokojowe, przysięgał na ewangelie, podobnie jak Turcy na Koran, że uzgodnione warunki pokoju będą zachowane. Kardynał Cesarini – legat papieża – skłonił jednak Władysława do złamania przysięgi i poprowadzenia kolejnej krucjaty antytureckiej. Kardynał uznał bowiem, że chrześcijaństwo na pokój zbyt mało zyskało, a więc jest pokrzywdzone. Wielu rycerzy polskich odmówiło udziału w hańbiącej wojnie. Władysław mimo to poprowadził wyprawę, która skończyła się totalną klęską wojsk chrześcijańskich i jego śmiercią pod Weną.

Historia Władysława Warneńczyka i jego ojca Władysława Jagiełły to kiaszyczny przykład manipulacji władcami Polski przez Kościół. Tak tworzono legendę uzasadniającą hasło „Polska przedmurzem chrześcijaństwa”. Tak pozór przeradzał się w tradycję, którą synowie narodu musieli kultywować, składając hołd fałszywym wartościom.

Władysławowi Jagielle przyszło się zmagać nie tylko z biskupem Oleśnickim. Bezkompromisowym zdrajcą był książę opolski Władysław zwany Opolczykiem. Ze względu na szerokie wpływy w Polsce i za granicą wiele zła przyniósł krajowi. Pochodził ze zniemczalej linii Piastów śląskich, spokrewniony był z Ludwikiem Węgierskim. Opolczyk został namiestnikiem Rusi Czerwonej z misją oderwania jej od Polski na rzecz Węgrov. Droga do tego celu miało być umocnienie pozycji Kościoła na Rusi. Sprowadzał więc Opolczyk dominikanów i franciszkanów, fundując mnisztwa i tworząc biskupstwa. Państwo kościelne rozprzestrze-

niało się na wschód. Opolczyk za wypełnianie zadań został hojnie wynagrodzony przez Ludwika Węgierskiego nadaniami lennymi ziemi dobrzyńskiej, części Kujaw, Złotoryi, Bydgoszczy.

Gdy na tronie polskim zasiadł Jagiełło, Władysław Opolczyk mistrzowi Zakonu Krzyżackiego Ulrichowi von Jungingen złożył propozycję rozbioru Polski między Krzyżaków, Zygmunta Luksemburskiego i króla Wacława. Kiedy zamiary nie powiodły się, usiłował dokonać zamachu na Jagiełłę i zająć zamek królewski. Zmarł znenawidzony, wzgardzony przez wszystkich, nawet przez Krzyżaków. Pomnikiem zdrajcy stała się jedynie Jasna Góra. A pomnik to szczególnego znaczenia. Jego geneza pozornie była banalna; otóż Opolczyk będąc namiestnikiem Rusi Czerwonej, natknął się w Bełzie na obraz Czarnej Madonny, która miała w sobie przechowywać wielką tajemnicę wiary.

Opolczyk, oddany sługa Kościoła, wygrał czy wyłudził tajemnicze malowidło i postanowił je „ochronić” w Polsce. Gdy o łupie powiedział Ludwikowi Węgierskiemu – ten polecił mu ufundować klasztor paulinów i im przekazać niezwykle obraz pod opiekę. Opolczyk wzniósł twierdzę klasztorną na Jasnej Górze i sprowadził do Polski paulinów z Węgier.

Zaskakujące zainteresowanie Ludwika Węgierskiego i paulinów Czarną Madonną wynika z kilku powodów. By je wyjaśnić, trzeba sięgnąć do znaczeń symbolu hebrajskiego w chrześcijaństwie i do magicznej mocy przypisywanej poszczególnym znakom.

Malowidło Czarnej Madonny przedstawia postać kobiety o czarnym obliczu. Czarny kolor symbolizował magiczną wiedzę, którą ma w sobie kobieta. Czarna Madonna odziana jest w płaszczyk z liliami. Kwiaty te – to symbol dynastii andegaweńskiej, która w wyprawach krzyżowych zajęła Jerozolimę i grób Jezusa. Ludwik Węgierski, potomek Andegawenów, a zarazem konfrater paulinów, przyczyniając się do sprowadzenia obrazu i zakonników do Częstochowy ożywił tym samym centrum ściągania energii z wyznawców chrześcijaństwa.

Paulini w XIV wieku stanowili arystokrację zakonną. Byli strażnikami hebrajskiej tajemnicy dotyczącej źródła życia na Ziemi. Hierarchia tego zakonu umiała posługiwać się wiedzą tajemną, używać energii do magicznych zjawisk, znała język i wymowę symboli kabali. Herbem

paulinów było drzewo palmowe, strzeżone przez dwa lwy. W tle znajdował się czarny kruk z bochenkiem chleba w dziobie.

Dla pospólstwa spreparowano interpretację, według której palma miała być symbolem matki boskiej, lwy to Jan Ewangelista i Archanioł Gabriel, strzegący czystości jej ciała i duszy. Kruk z chlebem w dziobie wyrażał nakaz zaopatrzenia paulinów w dobra, jako że herbowi zakonnicy nie mogli kłaść się pracą, nie byli zakonem żebraczym.

W istocie znaczenie herbu paulińskiego jest inne: palma, roślina prawie niezniszczalna, łatwo odradzająca się, stanowi symbol zwycięstwa Jezusa – pośrednio triumfu chrześcijaństwa. Lew obrazuje panowanie nad myślą indywidualną. Kruk przedstawia hebrajską ambicję. Chleb w dziobie kruka to pokarm od bogów, którzy aspiracjami karmiły swych pośredników.

Dwoistość symboliki sprawia, że modląc się do matki boskiej, w istocie wyznawca składa siebie w ofierze zwycięstwa Jezusowego i triumfu chrześcijaństwa. Oddaje swoje samodzielne myślenie. Nasyca się podświadomie ambicją, która doprowadzi go do konfliktów z otoczeniem.

W XIV wieku chrześcijaństwo w Europie uległo regresowi. Ruch husycki zdobywał wielu zwolenników, ożywił samodzielne myślenie. Chrześcijaństwo domagało się nowej podniety, by przyciągnąć wyznawców. Ani okrutny bóg w majestacie trójcy św., ani inkwizycja, ani liczni męczennicy – święci nie wystarczali do utrzymania autorytetu wiary katolickiej. Czarna pani andegaweńska przy wiedzy i sprycie paulinów mogła spełnić takie oczekiwania. Bóg – mężczyzna przytłaczał swą mocą, budził lęk poprzez swój okrutny wizerunek, nawet ukrzyżowany Jezus wywoływał strach. Przed oblicze kobiety współczującej, a później również cierpiącej – gdy Madonnie zraniono policzek – łatwiej przynosiło się własne cierpienie, łatwiej otwierało się przed nią własne wnętrze. A to oznaczało dostęp do energii psychicznej człowieka. Kiedyś na chwałę Jezusa – mężczyźni oddawali cierpienie swego ciała lub ofiarowali mu życie. W kuldze matki boskiej zaczął człowiek oddawać więcej energii psychicznej.

Jasna Góra była (i jest do dziś) miejscem szczególnym na planecie – skupiskiem energetycznym, którym ludzie mający wiedzę mogli operować, wywołując magiczne zjawiska (wiele klasztorów na takich miej-

niektórych pielgrzymów, innym dawać poczucie mocy lub zapewniać doznania tzw. ośwień i objawień. Paulini z Jasnej Góry, przynajmniej przez jakiś czas, umieli się kontaktować z rządcą Ziemi zwanym bogiem. Dowodzi tego obraz pochodzący z okresu wojen szwedzkich, a przedstawiający latające kule, które przyniosły ratunek oblężonym w klasztorze przez Szwedów.

Kult Czarnej Madonny z centrum pielgrzymstwa narodowego w Częstochowie służy do pozyskiwania energii człowieka z modlitwy. Stany uniesień emocjonalnych czy wzruszeń powodują naruszenie indywidualnej struktury psychicznej i myślowej człowieka. Zbiorowe akty polecenia się autorytetowi sprawiają, że jednostka nawet po opuszczeniu sanktuarium należy do sieci wyznawców, przekazujących swą energię organizatorom kultu. Ta zaś w zręcznych rękach manipulatorów zamienia się w potęgę boską, która człowieka coraz bardziej przytłacza.

Czyż nie jest więc ironią nałożenie Czarnej Madonnie korony polskiej? Ta postać wyraźnie symbolizuje cierpienie bezradnej kobiety. Korona tylko uświadcza ten ból. Pielgrzymki zdążające do sanktuarium udręczenia ziemskiej kobiety przez modły i cierpienie ugruntowują istnienie pozornej prawdy, utwierdzają egzystencję mitu.

Męczeńska funkcja kobiety to jednocześnie ukoronowanie cierpienia Polski. Wtęczna męczennica, a mimo to nieustannie pomagająca innym: by nie ożyła jej normalność, by nie odrzuciła pozorów i nie pokazała swej prawdziwej twarzy światu. Ukoronowanie cierpienia to pętla zaciśnięta na gardle narodu, dzięki której Watykan może pomnażać swą chrześcijańską potęgę.

Nad sentymentalnym mitem czuwały przez stulecia tysiące paulinów, gromadząc w podziemiach Jasnej Góry insygnia męskiej władzy, waleczności i zwierzchności nad światem. Gromady pielgrzymów, władcy, moi, oddając się pod opiekę mitu cierpienia – nie tylko stają w szeregu bałwochwalców, lecz dołączają do stada owiec, którymi pasterze według swej woli zarządzają.

Benedyktyni, dominikanie, paulini i niektóre pomniejsze zgromadzenia zakonne – oto prawdziwa plaga Polski. Urzędnicy boga nigdy nie czuli się gospodarzami swojej ojczyzny.

Chrześcijaństwo wykształciło kastę bezwzględnych pasożytów. Duchowieństwo, niczym komórki rakowe nastawione na unicestwienie

żywiciele – zachłannie pożerało Polskę, niszczyło przejawy myślenia, a mimo to ducha samodzielności nie udawało się zabić w Polakach. Choć katolicyzm swoimi wpływami przygniatał cały kraj – to każdy powiew innego myślenia był w Polsce przyjmowany spontanicznie i rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Tak było z ruchem husyckim, który poważnie zagroził katolikom. Za Jagiełły stał się hasłem do wspólnoty narodowościowej kilku słowiańskich państw. Gdyby nie talenty manipulacyjne biskupa Oleśnickiego, zapewne w centrum Europy doszłoby do samostnego zjednoczenia kilku narodów pod opieką Polaków. Zgoda była i jest największym zagrożeniem dla chrześcijańskiego boga – toteż wspólne wysiłki Rzymu i jego przedstawicieli nigdy nie dopuszczały do zawiązania się trwałych układów przyjaźni ani wewnątrz państwa, ani między sąsiadującymi krajami.

Ruch husycki w XV wieku, późniejsze wpływy reformatorskie luteranckie i kalwińskie, działalność braci polskich (arian) w XVI i XVII wieku niezwykle życzliwie przyjmowano w różnych grupach społecznych. A to dowodzi, mimo istnienia jarzma katolickiego, otwartości Polaków na inne prądy myślowe.

Za panowania Zygmunta Starego rozprzestrzeniła się nowa myśl protestancka, skierowana przeciw wszechwładzy Kościoła katolickiego. Próba oświeconego stłumienia protestantyzmu, podjęta przez władzę wraz z biskupem krakowskim Piotrem Tomickim, przyniosła skutki wręcz odwrotne. Kalwinizm, arianizm, luteranizm objęły całą Polskę. Powstawały znakomite, postępowe szkoły arianckie uderzające w skostniałe szkolnictwo katolickie.

Za Zygmunta Augusta (1520–1572) zrodziła się myśl stworzenia kościoła narodowego oderwanego od Rzymu, ale królowi, uwikłanemu w życie emocjonalne, zabrakło sił na głębsze zrozumienie i realizację tej idei.

Usiłował on jedynie pogodzić katolików z protestantami, ale zgodę wykluczała opozycja katolickiej hierarchii i kościelnej. Nie mogła dopuścić do przejęcia „dusz” przez szkolnictwo protestanckie, zwłaszcza że w samym szkolnictwie kościelnym zaczęły rodzić się bunt o charakterze antykościelnym (jak zakon krakowski w 1549 roku). Biskupi: Karnkowski, Solikowski i Myszkowski wymusili wówczas na królu zezwolenie na wprowadzenie jezuitów do Polski z zadaniem odnowy szkolnictwa

i walki z reformacją. W 1564 roku kardynał Hozjusz sprowadził jezuitów do Polski.

10 lat później doszło do zburzenia świątyni innowierców w Krakowie przez młodzież katolicką. Zabito także kilku protestantów. Kardynał Hozjusz ten czyn skomentował słowami: „Czego nie śmiał ani król, ani biskup, to zrobić ośmielili się studenci akademii krakowskiej, godni wiekuistej pamięci, których chwałę cały kościół sławić będzie”. Takie stwierdzenie kardynała zachęcało społeczeństwo do brutalnej nietolerancji wobec ludzi inaczej myślących i utwierdzało katolicką rację nawet ponad przykazanie „Nie zabijaj”.

Wkrótce dzięki jezuitskim przedsięwzięciom wprowadzono w Polskę „porządek”, a jedność protestancką rozbito. Wobec innowierców przygotowano oskarżenia i „dowody” współpracy z wrogami Polski. Najlepsi z nich musieli Polskę opuścić jako zdrajcy. Katolicki Kościół został uratowany. Wyłączność władzy duchowej zachowana. Jezuitski manewr powtarzano w Polsce wielokrotnie. Kiedy tylko myśl ludzka wzbijała się ponad poziom grzedy katolickiej, kiedy duch narodu odrywał się od przeciętności – natychmiast montowano oskarżenia. Nowe powiewy myśli rozsadzano i niszczone. (Tak stało się też w naszym stuleciu z „Solidarnością”, której idee racjonalno na stopnie ołtarzy, by się z klęczek nie podniosła i nie mogła wolna w zbieżność ponad podziały).

Wraz ze Stefanem Batorym (1576–1586) rozpoczął się nowy okres świetności Kościoła katolickiego, wsparty o szeroką działalność jezuitów. Nic dziwnego, że Batory był władcą bardzo wysoko cenionym przez Kościół.

Polacy wraz ze sprowadzeniem jezuitów ulegli najcięższej chorobie ducha i ciała. To właśnie perfekcyjnym jezuitom zawdzięczamy ukształtowanie matrycy Polaka-katolika, człowieka bez twarzy: bezmyślnego fanatyka funkcjonującego bądź w stereotypie prawicowym, wstecznym, bogoojczyźnianym (bóg, honor, ojczyzna), bądź też lewicowym, antyklerykalnym, demokratycznym, ateistycznym. W ten sposób utrzymano wieczne skłócenie narodu, wieczną walkę pomiędzy lewicą i prawicą. Sprawiono, że ludzie nie mogą się porozumieć, mimo że mają podobne dążenia. Dzięki katolicyzmowi ludzkość funkcjonuje w permanentnym rozbiću, ale bez tego pośrednicy nie mieliby władzy. Sy-

stem wielopartyjny również opiera się na zasadzie: dziel i rządź. Im więcej partii, tym większy chaos, tym słabszy naród – ale i większa władza Kościoła. Oto ideał – on jeden żerujący na wszystkich skłóconych.

Zakon jezuitów został powołany w 1534 roku przez Ignacego Loyolę. Przewidziany do specjalnych zadań, posiadał strukturę wojskową opartą na dyscyplinie i tajności działania.

Trzy zasady kierowały życiem jezuitów:

- autorytet papieża (to on rozgłasza, a właściwie zastępuje sumienie jezuitów);
- cel uświęca środki: dla dobra Kościoła można stosować tortury, egzekucje, inkwizycje, polityczne morderstwa,
- dozwolone jest krzywoprzysięstwo w interesie wiary lub Kościoła. Jezuitom wyznaczono cztery obszary działania:
- konfesyjonał: do inwigilacji, intrygi, manipulacji politycznej;
- ambone: do agitacji politycznej, kodowania wzorców osobowych, systemów wartości, ocen, tworzenia opinii publicznej;
- szkołę: do łamania myśli i psychiki, kodowania dogmatów, uczenia na pamięć, kształtowania wiary w autorytety, nauki dysput o absurdach;
- misję: do rozprzestrzeniania wpływów Kościoła, ingerencji, kolonizacji nowych terenów.

Jezuici wychowywali duchownych i młodzież z rządzących sfer arystokratycznych. Program ich cechowały: nietolerancja, fanatyzm religijny, współzawodnictwo, donosicielstwo – a wszystko to pod hasłami „złotej wolności”. Od 1587 roku działała jezuitska Sodaliczka Mariańska – stowarzyszenie szkolnej młodzieży męskiej, propagujące kult maryjny. Jej członkowie, fanatyczni obrońcy katolicyzmu, stali się szczególnym narzędziem oddziaływania Kościoła na życie społeczne, byli siłą niszczącą wszelkie struktury ładu – i realizatorami chaosu.

W miarę rozkwitu szkół jezuitskich postępowe szkolnictwo arianie uległo zagładzie – za co Jan Kazimierz w 1658 roku otrzymał od papieża tytuł „Rex Orthodoxus”.

W dobie królów elekcyjnych Kościół rozszerzał swoje wpływy. Do funkcji prymasa była przypisana regencja w czasie bezkrólewia. Prymas –

pełniący w warunkach bezkrólewia rolę naczelnika państwa – miał decydujący wpływ na wybór króla.

Po śmierci Jana Sobieskiego prymas Michał Radziejowski (syn zdrajcy) sprzedawał koronę Polski trzykrotnie: Francuzom, Sasom i Szwedom. Na sejmie w Lublinie w 1703 roku udowodniono mu zdradę (za co przeprosił) – i pozostał dalej prymasem, kontynuując swe nikczemne poczynania.

Jezuita Piotr Skarga nauczał naród polski w swoich słynnych kazaniach: „*Pierwej kościoła i dusz ludzkich bronić aniżeli ojczyzny. Pierwej o chwałę Bożą zastawić się niżli o cześć świecką. Pierwej wiecznej ojczyzny nabywać niż doczesnej. (...) jeśli zginie doczesna przy wiecznej się ostoim*”.

Skarga działał w czasie panowania królów Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy. Wywarł ogromny wpływ na współczesne mu i późniejsze pokolenia Polaków. Jako kaznodzieja, nauczyciel i organizator był perfekcyjnym wykonawcą woli rzymskiego Kościoła. Złożywszy czwarty ślub czystości był całkowicie i bezwzględnie podporządkowany papieżowi. Jego zasługi dla Kościoła to sieć szkolnictwa na Litwie, w Krakowie szereg bractw religijnych i charytatywnych. Bractwo charytatywne Skargi oznaczało organizację lichwiarsko-bankową, w których obracano ogromnymi kwotami. Przedsiębiorczy jezuita upowszechnił operacje lichwiarskie i był założycielem pierwszych lombardów w Polsce.

Zakony misyjne jezuitów na handlu i lichwie zdobyły ogromne majątki, nie tylko w Polsce, ale i w Ameryce i Azji.

Efekt jezuitskiego nawoływania do ofiarności na cele katolickie to zwiększenie liczby klasztorów z 67 w XVI wieku do 1165 w następnym stuleciu.

Za miarę patriotyzmu uznawano bałwochwalcze obwieszanie obrazów świętych drogocenną biżuterią. Na obronę granic, gdy znalazły się w niebezpieczeństwie, środków brakło!

Po pierwszym rozbiórze Polski liczniejsza była armia duchownych (31 137) niż armia żołnierzy (18 425).

Duchowieństwo oczywiście odmówiło wsparcia dla okradzionego przez siebie skarbu państwa. Kwiecistym pustostłowiem wzywali do patriotyzmu i dalszych ofiar. Winą za zaistniałą sytuację obarczano społeczeństwo, które w ocenie duchowieństwa zbyt ułomne moralnie było, by bronić ojczyzny.

Okres saski (lata 1697–1763) okazał się najbardziej haniebnym w dziejach Polski. Wtedy to wszechwładne były w naszym kraju wpływy Kościoła rzymskokatolickiego i doszło do prawdziwej okupacji nieszczęśliwej Rzeczypospolitej przez jezuitów. Hasła tej epoki brzmiały: „Polska nie rządem stoi”, „Za króla Sasa jedź, pój i popuszczaj pasa”. Państwa sąsiednie traktowały Polskę jak karczmę. A równocześnie Polska szczyliła się posiadaniem 400 cudownych obrazów matki boskiej.

Rok 1717 to koronacja matki boskiej częstochowskiej na królową Polski i zarazem początek końca suwerenności Polski.

Jezuici rozpanoszyli się wszędzie, obsiedli cały naród, wsącżając w ludzi truciznę walki i nietolerancji. W 1724 roku wydarzyła się tzw. sprawa toruńska. Na skutek prowokacji uczniów szkoły jezuitskiej protestanci zniszczyli kolegium jezuitskie. Powołana specjalna komisja wydała wyrok śmierci (który wykonano) na burmistrza Torunia i dziewięciu uczestników rozruchów. Burmistrza skazano za to, że zlekceważył wydarzenie.

Przykładem nietolerancji i fanatyzmu religijnego rozwijającego się pod naciskiem ideologicznym kleru była ustawa sejmowa z 1733 roku, pozbawiająca dysydentów praw politycznych, dostępu do urzędów i możliwości sprawowania funkcji poselskich.

Okrucieństwo jezuitów po 200 latach działalności sięgnęło szczytów. Narastał sprzeciw społeczeństwa. W 1773 roku pod naciskiem opinii światłych ludzi zostaje rozwiązany zakon jezuitów, w tym czasie liczący 24 tys. członków. Lecz w Polsce bardzo szybko upomniano się o reaktywację okrutnego zakonu. Uczynili to targowiczanie w 1792 roku. Uczestnicy spisku antypolskiego nie mogli sobie poradzić z krnąbrnym narodem bez udziału jezuitskich służb specjalnych.

Bez skrupułów sprzedano Polskę za rosyjskie pieniądze, a uczynili to hierarchowie duchowni (targowiczanie) – biskupi: Ignacy Massalski, Władysław Łubieński, Gabriel Podolski, Michał Sierakowski – zdradą zaś obarczono słabego króla i niemoralny naród. Targowicę wsparli również katol. ccy magnaci. Szczęśny Potocki, Rzewuski, Branicki

„My tedy Senatorowie, Ministrowie Rzplitej... konfederujemy się i wiążemy się węzłem nierozrwalnym konfederacji wolnej przy wierze

Świętej Katolickiej Rzymskiej. "Zwrócili się oni oficjalnie do Rosji o pomoc zbrojną. W cztery dni później wojska carskie przekroczyły granicę Polski. Papież Pius VI pobłogosławił zabór Polski. Stanęły naprzeciw siebie dwa ugrupowania: stronnictwo reform i obóz bogoojczyźniany. Targowiczanie zagarniali fundusze publiczne, rujnowali skarb państwa, represjonowali przywódców obozu reform 3 Maja. Patriotów zmusili do emigracji. Rzewuski i Szczesny Potocki przedstawili Katarzynie II projekt reaktywowania ustroju z czasów saskich lub przekształcenia Polski w federacyjną republikę bez króla. W odpowiedzi na tę propozycję sąsiednie mocarstwa dokonały rozbioru Polski. Obóz bogoojczyźniany wraz z całym katolickim narodem utracił swą niepodległość.

Zdraycy zaś zażądali przywrócenia w Polsce zakonu jezuitów i oddania im z powrotem szkolnictwa.

Duchowieństwo polskie na przestrzeni dziejów nie tylko wysługiwało się Rosji czy Niemcom. Świadome akty narodowej zdrady, były składane jako dowody lojalności wobec rzymskich przełożonych. Rozkazy Watykanu zawsze oznaczały słabość Polski i potęgę Kościoła.

Przykładem tego są dzieje kodeksu Andrzeja Zamoyskiego. Projekt ustaw wznacniających Rzeczpospolitą w czasie rozbiorów był niekorzystny dla Rosji i Kościoła w Polsce. Papież Pius VI oraz nuncjusz Arochetti na spotkaniu z ambasadorem Rosji w Watykanie Stackelbergiem zdecydowali: „aby prawa przez J.P. Zamoyskiego uformowane tak zostały umorzona, iżby się wspomnienie o uszy nasze ani potomków nie obliło”. Reszty dopełniło duchowieństwo polskie. Wpłynęli na posłów tak, że ci bez czytania „zaczęli drzeć kodeks i rzucić go z łoskotem na ziemię”. Zdarzyło się to 31 października 1780 roku w sejmie (Łukasz Kurdybacha, *Dzieje kodeksu A. Zamoyskiego*, 1951 rok, s. 120).

Tworzone w 1807 roku jako załączek państwa polskiego po rozbiorach Księstwo Warszawskie wzbudzało ogromny sprzeciw papieża. Do opozycji papieskiej przyłączył się arcybiskup Raczyński wraz z episkopatem. Mimo opozycji Księstwo Warszawskie pojawia się na arenie politycznej, a hierarchia kościelna, pozostając wroga, wnosi roszczenia wobec ledwo powstałego państwa, żądając rozszerzenia uprawnień kościelnych i podniesienia uposażeń duchownych. Swych interesów pilnuje uczestnicząc w obradach senatu.

Kolejne działania na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę: spiski, walki narodowowyzwoleńcze, a szczególnie powstania z lat 1830 i 1863 były ostro potępiane przez rzymską kurie. Polska hierarchia kościelna również nie chciała zrywów powstańczych. Biskupi zamieszani o stan swego posiadania wydawali polecenia składania donosów na powstańców i spiskujących. Dążenia niepodległościowe Polaków uważano za godzące w całość zasad i jedność państw Świętego Przymierza. Dla biskupów: Przytuńskiego, Sedlaka i Bończy-Tomaszewskiego interes Rzymu był ważniejszy od wolności narodu.

Gdy zabłysła następna nadzieja na odzyskanie niepodległości przez Polskę w okresie pierwszej wojny światowej, hierarchia wezwwała katolików w trzech zaborach do udziału w wojnie po stronie poszczególnych zaborców. Natomiast po odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku biskupi nie przejęli się stanem kraju wymęczonego niewolą i zabarami; przystąpili do bezwzględnej egzekucji swoich własności, przejmowali również majątki kościołów innych wyznań. Bez żadnych skrupułów ogłaszano skarb państwa, by poprawić kondycję finansową Kościoła. Niedawni współpracownicy zaborców, biskupi i duchowni – po wyzwoleniu natychmiast zasiedli w ławach sejmowych i w senacie. W parlamencie znalazło się kilkudziesięciu księży. Setki innych brało czynny udział w działalności partii prawicowych. W sejmie duchowieństwo torpedowało wszystkie reformy społeczne.

Episkopat przy współudziale Akcji Katolickiej chciał doprowadzić do całkowitej klerykalizacji kraju.

10 lutego 1925 roku Polska podpisała konkordat z Watykanem, z pożytkiem interesów Kościoła uznany za jeden z najlepszych. Duchowieństwo zostało zwolnione ze służby wojskowej. Zapewniono mu wzmożoną ochronę prawną-karną. Przyznano ogromne ulgi podatkowe. Do szkół jako obowiązkową wprowadzono religię. Przymus praktyk religijnych „prawili, że katolicyzm stał się religią państwową. Prezydent musiał składać wyznaniową przysięgę. Zakony opłacały wychowanie i szkolnictwo. Weszły w posiadanie około 1000 przedszkoli, ponad 200 szkół podstawowych i tyluż średnich; posiadały trzy kościelne szkoły wyższe, mnóstwo zakładów opiekuńczych, burs i internatów, około 300 szpitali. Ponadto duchowni rozporządzali kilkudziesięcioma wydawnictwami i drukarniami, wydawali ponad 200 czasopism

Z tytułu rozszereżeń majątkowych po podpisaniu konkordatu w rękach Kościoła znalazło się 320 tys. hektarów ziemi.

Odkąd powstała struktura państwowości polskiej aż po czasy współczesne nigdy nie było grupy bardziej uprzywilejowanej w Polsce jak Kościół.

Gorycz tragicznej refleksji zawiera wypowiedź Seweryna Goszczyńskiego, który tak na przykład pisze w 1841 roku o katolicyzmie w swych dziełach: „Urządziwszy Polskę w swoim duchu, podniósłszy się nad nią władzą duchową, pojrzał na nią jak na swoją własność, zapragnął zmienić ją w ślepe narzędzie swojego bezwarunkowego samowładztwa. Stąd wynikło, że ją ociemnił jezuityzmem, duchem cudzoziemskiej sprowadził z drogi czysto narodowej, nietolerancją zakrwawił, zeszpecił, rozdzielił, zesłabił, następnie upodlił, przywiódł nad przepaść zguby i w końcu przeklął”.

Plemiona rozeszły się, ale spokojny żywot wiodły. Nie znały zemsty, kłóży, zdrady. Mimo że osobno ciałem, przez myśl się łączyli pamiętając czasy zgody. Żyli na wielkim żywym terenie. A na nim w puszczy ponad niewiele, by z borem harmonii dochować. Ale w pamięci też mieli czasy, gdy z Góry zostali przegnani. Czasy pożogi, ognia i miecza, który im nie był znany. W ostępach puszczy znów czuli się wolni i ład znów zaczęli budować.

Nie trwało to długo. Przyszli wędrowcy. Pytali Słowianie, skąd oni, lecz odpowiedzi nie otrzymali. Pod dach ich przyjęli, bo im ufali, dali strawę i nocleg.

Z początku wędrowców nie było zbyt wielu. Patrzyli na Słowianę i pogani. Lecz szybko spostrzegli, że naród ten ufny. I głupim go zwali. I od mąską zgodności weszli, aby złamać w nim prawa.

Trudno im było z początku zasilać niezgodę, bo Słowianie mało używali słów, by myśli czyste nie skazić. Ale wędrowiec – gość w domu, niegodnie go nie wysłuchać. A przybysze swą obecnością porządek porządku narzucić i rzeczy bez potrzeby naruszać. Nie widzieli Słowianinów i ich zmian. Przybysz niby to dobrą radą bądź gestem służył, a im bóg naważenie zdobyć. Potem dopiero zaczął o mądrym wszystkim i o ludzkiej winie opowiadać. Co go nie prawa, lecz lud ma chronić, bóg słuchać.

Słowianie nie wiedzieli, co to bóg, więc obcy wszystkie wydarzenia im przypisywać. Gardło niekiedy poderżnęli temu, kto za dużo im w miedzę niósł i boga słuchać nie chciał, by nie był przeszkodą. Wśród ludzi macej wyglądali, niekiedy zdawać by się mogło – dobrze im się patrzyło. A i wyleczyć co poniektórą chorobę umieli.

Nie raz jeden radę Słowianie zwołali, gdy obaczyli, że przybysz, niby im nie robiąc, w nich zgodę psuje i jako choroba w ciało wchodzi. Wtedy się stali nagle, choć po prawdzie był zdrow jak ryba. Zostać chciał, ale Słowianie rozbił i zwodził Słowian niby to prawdy mówiąc. Opo- d, że takim do kraju swego, a wrócić nie może, bo słaby. Obie- , że rzeczy wielkie umie robić. Potem cuda w różnych miejscach

dział się zaczęły. Niekiedy znalazła się i taka osada, którą w całości wypalili, bo zbyt mocno więzy zgody trzymała. Obcych zwyczajów lud wpuścić nie chciał Boga, co przybysz przyniósł – odrzucał. Przykazań narzuconych nie słuchał. W każde plemię inaczej musieli uderzyć, by prawa wyrzeźbić. Tu podstępem, tu zgrozą, cudem, tu znowu błyskotką kupić. I obrazy tworzyli tych, co się Słowianom jako żywi ludzie pojawiali, a obcy ich bogami zwali.

Energię czarni przybysze umieli formować w obrazy i słowa, co zdawało się, że z nieba płyną. Nie umieli rozróżnić Słowian, co tu prawdą, a co fałszem, bo fałszu nie znali. Sztuczki magiczne obce im były. Wędrowcy wtedy zaszyli w listowiu baczili, by być niewidocznymi. Cieszyli się, ale radość to była inna. Nie z prostoty płynąca, lecz z krzywdy drugiego. Głupcami Słowian nazywali, bo potem sami przez się coraz częściej różne zabawy wymyślać poczęli, by sobie również czas próżnowania wypełnić. A śmiać się z cudzej krzywdy lubili. Wiedzieli też, że muszą zmian dokonać, gdyż nad nimi również miecz za nieposłuszeństwo wisi. Taki sam, jakim oni ludzi zgodnie żyjących częstowali.

Woda tryskała podczas suszy, choć Słowianom nie było to dziwne, bo i sami poruszać chmury umieli. Wiedzieli, że skala żywa i wodę da, gdy tylko potrzeba wypłynie. Ale mast tego dalej cuda widzieli. Tak ich obcy otumaniał. Wmówił, że to od boga pochodzi. Słońce zakryć umieli na dni całe, grad w piękną pogodę stworzyć, a gniewem bożym dalej to nazywali. Prosty lud nie chciał, by piony mu zniszczyć. Zaczął więc boga dopuszczać. A czarni trzymali dalej gry pozor. Jak ludzie byli posłuszni – świeciło słońce. Jak praw chcieli dochować – zaraz Pan grzmiał z nieba.

Obcy, co panami Słowian się stali, w każdej czynności wyglądali i w każdej rzeczy ręki bożej dopatrywać się kazali. Nawet w drobnej chorobie. A patrzyli na Słowian, czy ich ciała odporne, co znieść jeszcze mogą, jak zabawić się można cudzym bólem.

Lęk w nich zasiał. Lęk przed bogiem, którego Słowianie nie znali. Tworzyli cuda, które bez potrzeby w puszczy się działy, a tylko jej harmonię zakłócały. Lud zgłupiał, pracować zaprzestał, a tylko ręce do modlitwy składał, co przybysz go nauczył. Chleba brakować zaczęło. Tedy czarny strawę dawał i o państwo swoim, które pod boga opiekę jest dane i dlatego nieczego tam nie braknie – opowiadał.

Wędrowcy czarne krzyże mieli pod szatami swymi. Lecz nikt ich z początku nie widział. Po kilku wiekach cudów i łamania praw dopiero znak ten – pieczęć swą – na zewnątrz odkryli. Bogiem się kazali nazywać, przed bogiem kękać, stawiać bogu chwale kaplice. Z wędrowca w kęchę się przeobrazili. Gdzie był cud, tam kęchy same energię z Ziemi kradły, na jego uczynienie. Miejsca, gdzie niegdyś Słowianin sił nabierał, by moc dalej iść w drogę, teraz świętymi się stali i kękać trzeba było, by się przed gniewem bożym uchować.

I nauczili Słowian „siły”. Uczyli ich liczb, uczyli, że w liczbie potęga: „im was więcej, tym więcej silniejsi jesteście” – i nakazali mnożyć się jak szczury.

Lecz co rusz rodził się człowiek, a praw wiele jeszcze w nim było. Małe dziecię, a prawdę u innych wzbudzało. Czarni wszystko musieli pod swym okiem trzymać. Słowian mnożyli, bo gdy ludu więcej, to słabszy, mniej widzi i rozumieć przestaje. Walkę łatwiej pobudzić. Uczyli, że gdzie lud zaczyna w siłę rosnąć, tam i władca potężny być musi i koronę posiadać, co potęgę, odwagę i majestatu dodaje. By władca wybrany godnie mógł przed bogiem stanąć. I ludzi mieć musi, co mu będą radzić.

Podstępny to czyn był, bo lud słuchał władcy, a wszystko dla niego był oddał. Dlatego samego władcę częstokroć bardziej na oku mieli. Tak było prościej, bo lud posłuszeństwo okazywał, nigdy sprzeciwem się nie skazył.

Mężczyzna winien był, wymysłem kęchy kierowany, w siłę mięśni obrosnąć, a zbroję nosić, by móc się przed żołnierzami obronić, co z gniewu boga powstał. Kobieta winna być w tęsknocie za mężem pogrążona, dzieci swa nierzadko oddawać, by je na wojów wyszkolić.

W rodzinie kęcha wszedł, kobiety mieć na pieczy. Mężczyźni swej ręki używać nakazał. Słuchać się go kobieta miała, prawa zapomnieć, dzieci wychować. Kobieta prawa w sobie czuła, lecz skrywać je musiała. Mękę wielką cierpiała, bo z rozdartym sercem chodziła i jak w więzieniu była. W głowie kęchy myśl inna niż w jego słowach była. Wiedziała, jak znową zbudować, a jeszcze dobrze na tym wyjść. Musiał to robić, by krew zmienić, harmonię w ciele zakłócić. Czarne dziewczki, co mężczyźni jak opoki łamać umiały, dopiero później przysły. By dzieci gnębienia zgody do końca dopłnować.

Niekiedy coś kłechom nie wyszło, ale zawsze słowo swe puste umieli na wierzch wyłożyć. Mówili że to nieważne, by Słowian zyskać, pozor nie płakał nad kłeskami, co je sami w pierw wywołali, naby ich tulili, by w nieszczęściu wspomóc. A jad zmił w nich narastał i narastał.

Wszystko, co ziemia dawała, Słowian było pracą. Teraz bóg zaczął owoce zsyłać i płody – ale mógł też zabijać i grabić. Był gniewny, a nikt go nie potrafił obaczyć. Wszystko po jego myśli układać się musiało.

Tak miało zostać do końca wieków. Człękowi, co o prawdę pytał, natychmiast dawali tłumaczenie, ale wykrętne. Część się zgadzała, a część fałszywą maską przykryta. W sprasowanej całości nikt nie odgadywał, że bliźna jest pośrodku.

Przez wieki całe czarni lud Słowian niszczyli, by prawa do końca wyplenić. By myśl ożyć w człowieku nie mogła.

POPIEL

Ja, zrodzon Słowianinem, umarłem przemieniercą.

Narody nasze żyły zgodnie, nakazem praw kierowane. Praca dawała radość, jako i bycie z drugim. Niezgoda obcą była. Tak biegło raniej.

Przyszli na ziemię naszą i Kruszwicę samą czarni kapłani od boga zajęli. Należało wyłożyć: co bóg i co kapłan. Nie znaliśmy tego. Podstępnie, powoli wmieszali się w nasze plemię. Wprzód zadziwił chcieli tym, co wiedzą i co potrafią. Nie dziwne było Słowianom to, co czynili boskie imię sławiąc. Raniej samiśmy deszcz w suszę sprowadzać umieli. Jednak zmamienili władzą, wielkością, mocą boga, wolnuto traciliśmy rozum. Zapuszczali obcy ciemniey zastępną na wiedzę w sobie ukrytą, niepomni na prawa i takż na użytek z myśli. Słowianie miast łącza z myślą drugiego i swoją wzięli wszczepione przez przybysza słowa, co się mnożyły wiecie. Nie słyszeli już siebie, nie rozumieli brata swego.

Bóg, wiara, wielkość zabili oświatę. Z niego zrodził się taki, co zwał go trudno i nie ochota. Zaczął zabijać, truć, mordować, gnębić kobiety, wysmiewać prostotę, jedność, naturę życia. Wszło w użycie, prawa wykluczając, pragnienie władzy i posiadania. Nie ma potrzeby – jest gromadzenie wszystkiego. JA muszę mieć więcej od sąsiada! Za dary dziękować bogu jakimś, co go nigdy nie widać, miast rozsznaczyć, co sami sobie czynią i że nikt obcy im tego nie daje.

Przełamiwszy kolejne nitki wiązania ze sobą i praw czynienia, staliśmy się przeciwnością przodków Słowian. Patrzyliśmy tylko na siłę miecza okrutnego każdego, co się napałoczył. Nie musiał być wrogiem. Smak wolności był znany i wracać miał często.

Dawnym Słowianom od praw szanowania dawno zbieżały kości. Ich wronki i młodsze kłękają przed bogiem bez twarzy, dzięki zanoszą jak głązki, siekają bliźniego, krew przelewają, roznoszą przemoc i drwinę. Walki, władzy chcą i majątków. I za to dadzą się sami usłec. Życie ich zbrodnią. Prawa złamane. Ciało władają, myśl zabita. Oniś nieznane, teraz w użyciu co dnia – cierpienie. Rozum pomieszany z lękiem krwią i szablą.

Podstęp inroczny słyszę: rodzinę całą, służbę i bliskich trzeba rychło do boga wysłać. Nie wiedziałem, że zabić mam resztki słowiańskie w grodzie, ostatki myśli żywej

Ja sam to robię za biesiadnym stołem. Krótki rozum nie myślał, co będzie, kiedy truciźną do jadła dawałem. Byłem w malignie. Jak oprzytomniałem – sam jeden zostałem żywy.

Strach wielki zstąpił na mnie przed karą bożą. Niepomny byłem do końca na złamane prawa. Niepomny na skutki, com przyczyny im dawał. Niepomny na głupotę, co mi ją zaszczepili za młodu, jako i serce do wojaczki krwawej, a z tego wywiodłem własne okrucieństwo. Zgubą to stało się moja.

Drzewiej wiedziałbym, co czynić trzeba. Teraz uciekać mi jeno w głowie. Zabijać siebie – nie – na tom za słaby i nie było to w zwyczaju. Żywotem ponurym pustelnika czyny podte zmażę i już nikomu złego nie przysporzę.

KRAK

Ród Wiślan – twarda słowiańska natura. Wiecznie trzeba ich pilnować, by nie zapomnieli wojny i miecza. Zostawieni samopas na ziemi choćby i na lat pięć – spokojnieją, walka zamiera. Nie w głowie im wojna.

To ja, Wiślic, w germańskich uczonek klasztorach, przyszedłem przynieść im walkę i władzę.

Ambicja to mój dar dla ludu leniwego, by nigdy już nie zaznał spokoju, by wiecznie szukał wroga i zabijał go, chcąc ukryć pustkę w sercu swym.

Władza – to moje trofeum obiecane mi przez preceptorów. Jeden z nich: Jach – przeor klasztoru w Czesiech, podlec nad podlece – złamał mnie i wiarę dał, że wielkim będę w walce. Czech nawiedzał klasztor raz na rok, Jachowi dał instrukcje. Był też Jacha pomocnik – on miał codziennie biczować mnie, by posłuszeństwa uczyć. Chłostał sumiennie od dziecka i rzekł, że będę wielkim człowiekiem. W codziennym bólu każdej nocy marzyłem o wielkich czynach, nie mogąc spać widziałem moc wrogów, co łby im obrzynam. I obraz ten pozwolił spać, myśląc o zemście.

Wiślic ja, choć nie z wiślickiej matki zrodzon. Wiślanem ojciec był, wiślickich braci miałem. Ojciec w niewolę czeską poszedł, matka z branką się wiodła. Ojca znaczny ród wyróżniał, bo konia miał i wołu, i grun-

tu knwał ogrodzon. Ziemi szmat schodził, wędrował z bursztyniarzami, a patrząc tu i tam zobaczył, jak grabić i grodzić. W niewolę wpadł w czasie kolejnej wyprawy.

Gdyin dzieckiem był, w klasztor mnie weksnął, mnichom majątek przekazał krwawy. Urznął łeb panu i bratu jego, by zyskać denary do mojej wyprawy. Nie uciekł z nimi daleko. Pieniądze i mnie w klasztorze umieścił. Na palu dostał zapłatę.

W klasztorze tym dziesięć lat uczył mnie Jach i Czech (Jach Niemcem był). Uczyli mnie walkę wszeczynaś, szlachtowaś ludzi jak krowy. W szesnastej wiosnie poszedłem poznawać wojny rzemiosło – prowadził mnie Czech na wojnę, miecz ręka moja uniośła. I wojowanie ćwiczyłem od wiosny do jesieni. W zimie zaś Jach pracował, by umysł mój odmienić. Wpajał, że wojna ważna rzecz, rycerstwo to powinność, zabijaś ludzi prosta sprawa i bóg mnie w tym podtrzyma.

I tu nauki minęły i przyszedł czas, bym zmieszał się z prostym ludem. Sześć miesiączków żyłem w osadzie, by zdobyć zaufanie. Potem uderzył na nas Czech; tak było ukartowane. Odtąd wiedzieli Słowianie już, że wojna nie przelewki, że zbroić się przyszedł czas. Miecz brały nawet dziewczki. I szlim od osady do osady zbrojni, gotując się ku wojnie. A jeśli kto mi odpór dał, Czech go napadał orężnie. To była dla nich pewna śmierć, więc rosły moje zastępy. W końcu złapałem nawet tron, gdy mi kilka osad opętał. Oni mi dali imię Krak, bom chodził w czerń płynny i czarne wizje im malował. Lecz miałem swój cel: prowadzić w bój te zne zastępy Słowian, dać poznać im – co ból, co strach i jak być bliżej boga. Od ziemi tej oderwać ich, gdzie latami żyli, zamknąć ich w gród, bym im zawsze mógł panować na tej ziemi.

WANDA

I przyszedł Niemiec do Kraka jak po swoje, i rzekł mu, że ziemia ta jemu tylko przypada. I więcej chciał – nie pracą, lecz orężem zbrojnym sławę się zdobyć i czynem nieprzystojnym. On zabił czterech braci moich (czekł), że będzie królem, tylko jam winna ślubować mu, a ja się nie zgodziłam.

Słowianki matki mnie chowały. W czasie szaleństwa wojny one trzymały spokojny sen, by zapomnieć o zbrodni. Matka umarła wcześniej w czasie pożogi, gdy Czech najechał znów, by lud nie zapomniął trwogi. Słowiańskie matki śpiewały mi o czasach zamierzchłych, o spokoju i zgodzie, powtarzały: prosty człowiek nie stworzon tylko dla znoju. Wróciły mi pamięć praw i że człowiek nie powinien zabijać. Wiedziałam ja, że do czasu wiedzę tę muszę ukrywać.

I kiedy przyszedł do mnie Krak powiedzieć o śmierci braci i że poślubić Niemca mam, by ród królewski ocalić, wiedziałam, że skóry nie oddam łatwo.

Niemiec przyszedł gwałcić mnie i rzekł, że będzie niewolił mnie co noc, bo mam mu zrodzić syna. Nie rzekłam nic, wiedziałam, że lepiej mi już zginąć. Gdy tylko odszedł, skoczyłam w nurt rzeki.

I został Krak samotny w popiołach swego dzieła. Pytali woje go, co zechce teraz zdziałać. A Krak, jak ślepiec samotny, nie widział już przyszłości. Rozeszli się na rolę więc i tam zostawili kości. Młódz zapomniła tej historii i wsłuchana w ziemi melodię. Lecz nie dano zapomnieć im o mieczu i sztuce obronnej.

PIAST KOŁODZIEL

Pojawił się człowiek Piastem zwany i on właśnie, nikt inny, został opisany. A wszystko, co tu opisano, jak echo jest tylko, co długi czas po górach się obijało. Słowa szeptane i pieśni śpiewane, historie różne i podania szły przez lud.

I gdy człowiek odchodził, słowo trwało dalej, bo nikt nie mógł zatrzeć śladów pojawienia się Opiekuna.

* * *

Starym jest i ciało niedomaga, a choć oczy nie widzą już, prawie jasno spojrzeć dziś mogę wokół. Zmęczonym siało me, ale i dzieła już dokonane są, a wysłużone członki prawie że zbędne.

Powolała mnie moc silniejsza niżli te, co są i nastąpią. Słła odwieczna wyłoniła mnie i uformowała, a zadanie me jasno zawsze pojmowałem i błędu nijak zrobić nie można było. To pewność, co gdzieś z piersi

sięga, i głos, co z wielu się składa. Jam jest tu tylko jak socha, co grunt pod ziarno przygotować musi i nic innego. Wiedziałem przecież, choć oczy me puste, to i widzieć mi było wolno, że lud, w którym ziarna prastare złożone, ochronić trzeba, by nie szczeł, boć innych kości w słońcu bieleły. Dopuścić do tego nie mogłem. Plemiona zjednoczyć trzeba, waśni wszelkie zakończyć i choćby resztek tego, co w ludziach tli się jako isierka prawdy, nie zgubić, bo na płaszcach czarnych choroba już bieży, nie tylko ciałem się żywiąc. Potrzebny jest opiekun, co ręce swe rozłoży i zagarnie ku sobie całość: drobiny. Germanów trzeba się wystrzegać. Wciąż kręca się i kręca, żelazem wszędzie drogę wycinając.

Myśl, by zjednoczyć rodaków moc w jedno, to jest moje zadanie. A imię moje stanie się jak symbol, znak, każdy zaś, co moc ducha wielką w sobie znajdzie, mnie i innych usłyszcy i dzieło będzie wiódł – bo nie zginąć wypada temu, co głęboko w ludziach mieni się kolorami najczystszyimi. Syn mój dzieło powiedzie dalej. A syn to po myśli raczej niż po krwi. Ciało teraz jeszcze wiele nie znaczy i dużo ciał legnie. Coraz więcej niesie, że ludzie giną, kobiety w zniewolenie idą, a wszystko to, by ducha w ludziach zgnieść. Wyteplić, by dzieło zniszczone ogarnąć mogło ciało puste, w niewoli zrodzone.

Jest krzyż, co ludzie strach przed nim mają, bo ze strachu i bólu stworzon. Jego jest władza i jego są tu ludzie. Roić się zaczyna od nich jak od robactwa. Są jak śliszki albo w żelazo ubrane zwierzęta, co żywią się cierpieniem i smutkiem. Ciężko z nimi być. A bacznie i ostrożnie przyglądać się trzeba, bo krew mają na szatach i zmywać jej wcale nie chcą, a łatwo im do żelaza sięgać. Słowa ich nie są słowami i słuchać ich nie wypada uszami ni sercem, bo słowami wojują jako i członkami.

To, com widział, straszne jest, bo ich dzieła trwałym piętnem ludzi znaczą i w jarzmo wprzegają.

Teraz ciężko już jest całość utrzymać, bo i ten, co wczoraj był ci bratem, dziś pianę z ust toczy. Choroba straszna trawi nas od środka i wypala. Ni walczyć, ni poddać się. Uchodzi tylko wejrzenie ze świata na własną prawdę zostawić, by nic, co brudne, zmacić oczu ni uszu nie potrafiło.

Ogniska ojców są już zdeptane, a ludzi jako ciężary naczepili się: smutek, ból, żal, gniew i złość. Trzeba jednak trzymać ten ogień, co w ludziach się pali, i do zatracenia go nie dopuścić.

Piast to słowo opiekun znaczy; wielka to rozważa i rola taka, że i nie może być czasu, by go nie nastąpiło.

Ciemno się robi i głusza coraz większa, jakby w ziemię ziarno rzuczone nia się nakryło. Z niego wyjdzie to, co nad ziemię znów wzrośnie. Ileż uratować można, by ni drzewce, ni żelazo wydobyć na zatracenie nie mogło. Wrogowie wokół zbrojni jak wilki, coraz bliżej podchodzą. Noc się zaczyna. Trawi mnie ogień, żar jakiś, co dech zapiera. Ból czuję dzieciom i kobietom zadawany. Okrutne to czasy. Trzeba dary ludów wydobyć i nimi się ochronić, trzeba wilka skórę nałożyć, by rozszarpanym nie zostać; taki czas i zadanie Piasta. Niech trzyma mocno i nie puści ni jednego człowieka, niechaj mu każdy drogi będzie, bo mu brat i dziad Piast niech widzi, by skóra wilka w człowieka nie wrosła. Na to, co ukryte, niech baczy uważnie.

Oskarza się wystrzegaj i pamiętaj o tym, że dwa oblicza ma on i wiele rzeczy mu podobnych.

Uchroni kobiety. W nich jest życie nowe i w nich wszystko ukryte, bo mocniejsza są niżli wszystko inne. Głupiec, kto na nie nie patrzy; ślepy Jam tylko dzięki kobiecie widział i słyszał słów prawdziwe znaczenie.

Zbudować trzeba gniazdo, jedno wspólne, co siła ludzi zgromadzi; tam jest początek.

Pojawiać się zaczynają od wodnej strony nowi zbrojni, co rogi na głowach noszą, a wszyscy gdziekolwiek tylko spojrzysz krwi są zlaknieni, jakby ich co pchało, a Człowieka wśród nich nie dojrzysz.

Ociągają się jeszcze i ból mi sprawiają ci, co dziś razem żyć powinni. Czy pojmag? Nawet myśleć tak nie można.

RZEPKA

Jam wszędzie tam, gdzie i Piast. Boć my razem tylko, osobno nie nie znamy. A w oczach mych widzenie, a w uszach słuch, jako i najmniejszej trawy poruszenie - a z ust mych słowa ciche, co w nim głosem się odbijają.

Myślimy jedno zawsze; nie tu słów opisy. Z jednej rzeki, z jednego głosu

Dziś dzień jest, co tży z oczu wyciska i ból wielki i większy coraz to przychodzi.

Czas taki, że czarne potoki dokoła; ziemia krzyk niesie, co kobiet jest jękiem i dzieciąt płaczem. Krew coraz to wstąka z ciał mieczem rozciętych. Nie to jednak najgorsza trucizna, lecz nowy świat, co zwie się prawkońcem, gniewem, bólem i gwałtem wszelkim.

Przed nim to trzeba plemiona ustrzec, razem je złączyć, choć nie zniewolić przecież.

Pojmuje, że taka jest moja rola - widzieć, jak działo to całe powstaje, jak rośnie i czego mu trzeba. Mych uszu nie zwiedzie żadne czeze gadanie ni twarzy uśmiechy, ni szczęk żelaza.

Jam jest, by kobiet przypomnieć powinność i zadbać o wszystko. A każda z kobiet przecież jest z ziemi tej jako i ja sama i w każdej ma częśćka, a ich części we mnie i tam ogień, co nie zgasa go ni krzyż, ni inne pęta

I we mnie jest radość, co ból wszelki śmierzy, boć wiem już na pewno, że to, cośmy uczynić mieli pospołu, żadną się ręką rozwiązać nie da.

Bacz jeno, by gniazdo zawsze ciepłe było, bo ono tu rzeczy cały trzyma porządek.

Piast twarze dwie ma przecież, a jedna ta, co sprzed oczu zakryta widzi i słyszy przez serce; to zawsze kobieta.

Jak ciało człowieka, kość i mięso pospołu, gdzie twarde i miękkie rzeczy całość dają, tak my dwoje jedna jesteśmy istota. Jego powinność. urzynać na swych barkach i chronić twardością, i mocą swą kroczyć, a moja: nowy krok zobaczyć i wiatr słyszeć wokół, i szelest daleki, a widzieć dalej niż można.

Jest we mnie, co dziś w każdej ukryte, choć kiedyś jawne i jasne być musi i będzie.

Mnie umrzeć nie dane, bo kobieta żyć musi. Bez niej - pustka. I choć wdziki me coraz to bladejsze i ciato powoli usypia, to przecież ukryta jest w szatach kobiety prawdziwa istota. I tak w ciszy głos mój słyszeć, a nocy wzrok mój się nie lęka, bo ona na drodze mi stanąć nie może, a w środku gdzieś w piersiach taka pewność wielka, zdałoby się, że nieogarniona. Tam me ucho pierwsi sięga i myśl stamtąd nicłą się plecie.

MIESZKO I (? 992)

W ziemi spokojnej i dzikiej jeszcze wszedłem.

Tu mogłem być pierwszy. Tu pole dla mnie. Tu władza mnie czekała. Tylko ją brać. Siłą i sprytem rzecz jasna. A nie było to łatwe. I sporo trzeba mieczem nakroić a namachać.

Jeszcze ojciec mówił o władzy, jaka z niej stodoła. Tak mnie naznaczył: tylko o władzę warto się starać. W słowie swoim ostatnim jeszcze ją pieścił i do mnie przykładał. Całe swe życie dla niej sterał. Drogę do niej karczował. Życia mu nie starczyło, by ją objąć całą. Na mnie wszystko przełożył. Łza ze starczej twarzy mnie żegnała. Cała nadzieja jego na mnie spadała. Tak wystreliłem jak orzeł silny pragnieniem władzy, mocny w mieczu.

Ruszyłem w kraj. Zbierać go i łączyć ziemie łapczywie dla siebie. By na siłę stać, siłą władać. Spieszyć się musiałem. Konkurentów miałem wielu. I wszystkim ziemie Słowian w oczy wchodziły. Gęste, żyzne ziemie, morzem opływające, wód, zwierza i skór dostatek. I pożreć by je chcieli. Jeni nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. W oczy kole, co jeszcze nie twoje. I zda ci się, że skórę byś z każdego zdart, kto ci broni tego dostać.

A wszędzie tam już miejski porządek ustanowiony. Pola pozagradzane. Las wszystkich, ale strzeż się tego, co w nim poluje, a mieszka tam.

Panowie na swych ziemiach są niby wielcy. Ale jeszcze za słabi, jeszcze w nie nie wrosli. Zaspiani jacyś. Borem zagłuszeni. Winem się chętnie grzeją. Czujności i sprytu nie mają. Ledwo od kniecia odstoją. Słabo wciąż mieczem władają. A złoto, jadło i skóry im w głowach. O wiele więcej nie dbają.

Małe mogą mieć zagonki. Do większych włości, do władzy nad ziemiami rozległymi nie tęsknią. Trzeba taką słabiznę sklepać w siłę wielkością jedną. Bo maczej każdy te państewka jak piórka rozdmuchnie i wejdzie tam swoje porządki wprowadzać.

I złączyłem je pod siłą. Państwo stanęło. I mnie się posłuch jak władcy należał. I chciałem, by tak trwało.

Ale z boku nie było spokoju. Niemiec czyhał, jak zwierza w pułapkę chciał zdobyć. Krzyżami i bogami chciał się posłużyć, podstępny. Umiąłem rozczytać jego zamiary i ustrzec się niewoli. Mówili, że chrześcijan-

skie łono ich wydało. Ale to tylko droga do wielkości ich upragnionej była. Bo Rzym i bóg rządził światem, chrzest dla korzyści wzięli, jak i ja uczynić to musiałem.

Sam wziąć wołałem, niż gdyby mi ktoś w wojnie krzyż w gardło miał wsadzić. By nie wpuścić Niemca z kropidłem. Bo zaraz bratem młodszym, jak on z Kościoła zrodzonym by mnie nazwał i pod opiekę wziął. I pomagał chrzty prawić, i maski swe by rozstawił.

Tedy z Czech żonę i chrzest przyjąłem. A i tak krwawe ten chrzest ludowi rany zadał. Siłą spętanych i obitych Słowian do naznaczania wiary prowadzili i wodą polewali. Z krwią im po twarzach spływała. Płacz się po Polsce rozlegał. Ludzie w gaje, swe miejsca spokoju, uciekali.

Krzyża i łask nie chcieli. Bóg im niestraszny, bo takiego nie znali.

Gnani strachem przed mieczem i batem byli. Lud to mój był – czy poganie? Sam już nie wiedziałem.

Oglądać tych kaźni przecież nie musiałem. Nie starali mi się o tym posłańcy opowiadać. Jeni chwała moja coraz głośniejsze wybrzmiewała. Na ustach posłańców papieża. Już kłątwa papieska na królu pogańskim nie spoczęła. I wielkość rosla. I do równości wielkich władców Europy coraz bliżej mi było. Sam pomogłem boski krzyż wprowadzić, stawiać świątynie, czcić stwórcę i jego posłańców. Zasługę mam wielką przed ludźmi, o to jeszcze nie rozumiem.

Mnie korona się śniła. Wielkości władcy uznanego się chciało.

Zaparty lud topniał pod mieczem, krew wsiąkała w ziemię, kości wróchniały, niewiasty w gumnach zamknięte. Chłopy na wojaczce, bo Niemiec nie popuścił. Pod zbroją złość zakrywał. Miecz mokry od krwi, żartoczenie się w cudzą ziemię wbijał. Bitwa o wiary wniesienie trudna – ho żywe mózgi wziąć trzeba. Bóg chciał, by krwawym żelastwem ofiarę mi składać i hołdy z pogan martwych czynić.

Wiedziałem: mury warowne, grube trzeba stawiać, sąsiady za sprzymierzeńców mieć, siłę gromadzić.

Papież, zdało mi się, jeden w ryzach kłatwy Niemca trzymał. Do mego poszedłem, na kolanach. W opiekę oddałem siebie i ziemię.

Przy nim musiałem mocno stać, by władzę utrzymać.

Nieważny lud i jego skamienie. Musi przyjąć, co władca wyznaczył. Władca siłę dla państwa sposobi i strzeże go. A wiara w boga będzie mi

tego rękojmiał. Wiare lud ma więc przyjąć i przy kościele boskim będzie stać.

DOBRAWA (?-977)

Żywot wiodłam spokojny, pókim Mieszka nie spotkała
Przybyłam ja z krzyżem w pogański kraj
Choć ten krzyż był mi obojętne
Wiedziałam, co wiara dla ludu oznacza
Wolność obraca w niewolę
Mieszko zgodny był z tym i niezgodny zarazem
Już zaczął być o chrzcie Polski swoje wywody
Ja nie wiedziałam, jakie dać dowody
Że jest w błędzie wielkim
Że sam siebie nie słucha
Miał on swych radców i doradców wielu
Co ich się słuchał, choć sam nie rozumiał
O klekach coraz głośniejsze było
Co to zbawić lud i na dobrą drogę wprowadzić mieli
Tym byłam zdziwiona wielce
Bo lud dobrze wiedział, co czynić ma za życia
Którędy kroczyć, czego słuchać i gdzie jadała szukać
Krzyży mnożyło się jak grzybów po deszczu
Świętymi je nazwali
Dobrego przynieść nam wieść miały
Byłam ja jednak z tych rozmów myślami wydartą
Bom czuła, że ludowi z harmonią życia
Przyjdzie się pożegnać
Ci czarni, co Mieszkowi o bogu kadzili
Obiecali szczęście wieczne i bogactwo w niebiosach
Lud miał przez chrzest uwierzyć w boga jedynego
Oddając się w postuszeństwo jego wysłannikom
Wnosząc wciąż swe dobra i owoce ziemi
Blżej, coraz bliżej boga być mieli
Mieszko uparty stał się, siebie już nie słuchał

Chciał jeno chrztu Polski
Woiskając w ludzi boga, żąda ślepej wiary
Co chorobą tej ziemi niebawem się stanie
I rozprzestrzeniać się będzie wszędzie coraz dalej
Szukałam sposobu, by udzielić Mieszkowi
Wiedzy, którą miałam
Lecz on zamknięty, głuche miał ucho
Na duszy mojej mówienie
W dzień, gdy chrzest wszedł w Polski życie
Było tłoczno, ludu wiele
Lecz ci niewesołe lica mieli
A i mnie ręce po kolana opadły
Żem nie mogła nie uczynić, nim ostatnie decyzje zapadły
Stałam przy Mieszkowi jako woda w stawie
Nieruchliwa, bez życia w ten dzień dla nas zgubny
Czułam to jarzmo wielkimi krokami nadchodzące
Chrzest Polski zabrał nam wolność
Dając władzę Kościołowi
Ten – poznawszy jej smak
Rósł w potęgę
Mieszko spostrzegł, do czego się przyczynił
Że lud swój wielce skrzywdził
Zabrawszy mu wolność, zabrawszy swobodę myślenia
Załoczył kajdany z wiary poożęte
Państwo polskie za święte po chrzcie uznano
Myśli i Praw zakazano.

ŚW. WOJCIECH (956-997)

Ojciec, co mnie spłodził, panem był wielkim. Ale następcą mnie nie mógł uczynić. Sam o władzę się bił. I we mnie władzy tkwiło umiłowanie.
Ja przy Kościele stanąłem. Tam władza pewna. Choć jak kopalnia
Aż pilnować jej trzeba. Masz ją od tego, żeś mnich.
Jesliś zapobiegliwy, twoje starania zawsze są wynagradzane. Ciężka
to praca: władania pilnować.

Wszędzie trzeba mieć baczność. By żyła ziota, co raz popłynęła z nastaniem władzy, siecią gęstą opłótła wszystką ziemię i ludzi. Każdy swe dobra, swą pracę i pokłony miał mi oddawać. A ja im spijał te soki życia. Czujesz, jaką słodyczą cię napemniają. Czujesz, żeś wielki, siłniejszy i lepszy – wybrany. I takie się to czucie niezbędne staje, że zabić możesz, by cię jeno tego nie pozbawiać. Dobra wszelakie, złoto, klejnoty, trunki przednie stają się jeno oprawą do władzy pełnienia konieczną.

Śluby me bogu złożyłem. Wiedziałem, co robię. Kościół moją nadzieją. On władzę trzymał.

Kościół ponad królami. To oni ginęli, trony zdobywali, dynastie się wyrzynały, a my bezpiecznie chodziliśmy nad ich głowami. Zbieraliśmy hołdy dla majestatu sług boga. Pewni władzy, co od boga nam przydana, nie podlegała nikomu. Mogłem błogosławić, wyklinać – władcami rządzić, Bóg zwyciężał, a my w imię jego odbieraliśmy cześć i złoto.

W Rzymie sieci władzy się zbogają i znów rozbiegają się po świecie, by przynieść bogu żniwo wiary, a nam, biskupom jego, bogactwo złota.

Tam się z Ottonem spotkałem. Wielkie on wpływy miał. Całą Europą potrzasał. Znajomość nasza bardzo po mojej myśli wypadła. Wielkim zaufaniem dla moich umiejętności mnie obdarzył i wiele pełnomocnictw nadał. Władzy jego i wpływów miałem strzec. I rozszerzać w miejsca jeszcze nią nie tknięte, lub oporne. Długo w Rzymie nie stałem.

Ruszyłem tedy w ziemie pruskich pogan. Nawracać, wielkości boga uczyć. Wiare ogniem na upartych ciałach wypalać trzeba było. Oczy obrzękle od płaczu i zmęczenia, ucieczką nieprzytomne, na boga musiałem otwierać. Mieczem tępych kosić. Krzyże w ich miejscach świętych wbijać. Msze dziękczynne za wiarę odprawiać, modły wznosić i mirę Panu kadzić.

Nie to, że nie chcieli. Prośbą miejsc tych bronili. Kobiety, dzieci i starców oszczędzać jęczeli. Na nic to im się zdało. Potęga Kościoła rosnąć musiała. Żaden kmięć stanąć na tej drodze nie mógł.

Aż zabili mnie jak intruza, jak psa najgorszego zostawili. Zemstą za ich upór śmierć moja nagle się okazała.

Świątynie powstały wielkie i kult misji moich dla boga się rozwijał.

A w miejscu, gdzie padł bez życia, wielkie hordy pomścić mnie przysły. Krzyż na wieki całe nad tymi ziemiami miał stać i karki pogan przede mną zginać.

BEZPRYM (986–1031)

Rok władzy mej obfity był w wydarzenia ważne dla mnie i dla rodu Polan. Na tron wróciłem do krain gnieźnieńskich, wprzód wyrzucony. Brat uległ moim słom i ziemię tracił.

Choć sam wkupiony w Niemca, siadła na Mieszka stawiąłem. Niemiec mnie poparł, co zwał się Otto, i z jego siłą poszedłem na Poznań i na Gniezno, Głogów przedtem zdobywszy.

Lud mnie witał, choć z wrogiem przyszedłem. On we mnie dziedzica poznał.

Biskupi swe czapy schyliłi, a ja im wiary nie dałem. Bo po cóż ja miałem sprzedawczych psów słuchać. Mnie obiecywali godności wielkie, bym im pańszczyznę sprzedadł. Nie zgodziłem się.

Gdy mnie podarkiem nie kupili, bunt na króla wszczęli, co mi dał powód do walki. Niemca wzięłem, Polan wzięłem i najechałem Łęczyca, gdy w grodach się walki zaczęły, biskupa wielkiego wygnałem. Kraków także padł. I wielmożę też uciekł mówiąc mi, że oszalał. Lecz ja wraz z nimi Niemca z łupem klasztornym odesłałem i wici po kraju puściłem. I woj się stawili, mą rolę uznał i przysiągł mi wierność nad Gopłem. I teraz zacząłem wieńczyć swe dzieło ratunku słowiańskiej wolności.

Pieczczę schowałem, koronę, berto i symbol królewskiej władzy w kufer na wóz załadowałem i w ręce cesarza posłałem.

Lud się radował, a ja pozwoliłem krzyże i kościoły palić.

Ruszyły tryby, których nie mogłem sam zatrzymać. Cesarz i papież za kilka dni mi przysłali od gońców swoje wieści. A listy te pełne były żelg i gróźb.

Papież pieniądze z Polski nie dostał, a to było wielkim zmartwieciem. Lecz jego się głos złamał, gdy o mordzie usłyszał księży. Biskupi nielekli, bo słuchali mej mądrej przestrogi i w Marchii schronienie dostali, w Budziszynie stanęli.

Lecz jeden biskup z Płocka swej ziemi nie ostatek i został, by wiedzieć, co się na polskiej ziemi dzieje. Swą władzę tam oparł i nie mogłem go z polski wygnać. Choć go oblegałem, on straż nie zdjął i kazał mi paść do gońców do papieża. Ja głupi byłem i pozwoliłem o polskim zdarzeniu pisać. Wieści nadchodziły o częstym mordzie księży i kasztelanów.

Lud przypomniał sobie krzywdę wyrządzoną przez ojca i dziada. Broń chwyciwszy mnichów wielu zarabiał. Wiślanie i ludy znad Odry, co rzadko księży ubijali, wszystkich na wozy pakowali i ku Niemcom pognali, by tam stawiali swe krzyże.

Widziałem znów zagrody wolne i Słowian, co Swojżycia ciosali. Lecz oni w pokoju żyli, a ja w strachu spałem.

Gdy lud o krzyżu zapomniiał, to rzucił też króla przywilej. W chatach zwykłych ostaliśny, zamki sterczały puste. Wieść poszła o mym szaleństwie i dotarła do ucha cesarza. Listy mi stali, bym im bogactwo obiecał. Moja odpowiedź wracała: krzyż złamany. Przerazała mnie wojna, lękałem się siły pogaństwa.

Rozpoczęły się zjazdy czeladzi. O pokój ich prosilem. W Gnieźnie zebrałem lud i powiedziałem o groźbie wojny i bogu. Czelaź nie słuchała i na me pojednania słowa do dom się rozeszła w milczeniu ostrzyżę groty. Wiare we mnie stracili.

Lud o ducha rzuceniu mym prawię. Ja nie słyszałem, bo strach mi męcił oczy. Zakończyć wojnę trzeba było i ugodę z księdzem zawrzeć. Papieżowi ufalem, w cesarską wierzyłem mądrość: chciałem pokoju dla ludu.

Cesarz wojną groził i wojsko zebrał w Marchli. Biskupi za nim stali i mnie zaprosili. Przyjechał biskup wielki do Gniezna i do wieczery ze mną zasiadł. Mnie do wiary i bogactwa namawiał, bym zostawił wiare ludu. Ze mną z bratem dalej pogodzą i z cesarzem sprzyjażnią.

Jego słowa nie przemawiały do mnie. Ugody podpisać nie chciałem. Jedynie o pokoju dla ludu mówiłem. Lecz on krainę Polan pogaństwa siedliskiem zwał. Na nic były dyskusje i jego mowy, on nie ustąpił, a ja nie podpisałem.

W noc letnią na zamku mnie otruli i tej nocy ciało w Gopie utonęło. Moja śmierć im drogę otwierała. Na mnie już wyrok wcześniej wydano, a śmierć ta była pieczęcią.

Wielmoże dokumenty spisali i Mieszko na tron wrócił. Korony nie dostał, kraj w nędzę i wojnę wpuścił. Poganstwo długo jeszcze walczyło z Mieszkiem, Kazimierzem i Bolesławem, lecz krzyży coraz więcej i coraz więcej mogli.

Wykięli mnie biskupi i naród mnie wykiął, że czoła biskupom nie stawilem.

MASŁAW (? 1047)

Masław był księciem. Ludu, ziemi i wszelkiego dobytku prawdziwym opiekunem. Nigdy nie poniechał potrzebującego. Hojną ręką i ramię wspierał. Bronił jak siebie. Przyglądał się, jak ziemia rodziła. I ręce jak trzeba umiał w nią włożyć. Baczył na człeka, czy syty i odziany ostatnio. Ili synów i ile córek piastować przychodzi. Wszystko ogarniał i w siłą pocziwiał i skórą.

A czas zawieruchy przyszedł. Broń była często potrzebna i szczerk zelaża się niósł.

Obyci sięgali ze wszech stron. Nie do pomocy czy po radę. Nakazem rękami dzielić się kazali – wszystkim, co było od ziemi i ludzi prostych, zdolnych i umiejących w łowieniu, zbieraniu czy uprawie. Ci nie znali, co znaczy nie dać. I dawali – sobie od ust odejmując.

Coraz to większe ciężary nosił Masław na sercu. Myśli gnioły głowę, tak że na bóle zapadał. Ciało rosło i mocne gięta nieprawda i cierpienie, jakie siali ludzie oboj, bałamutami i opasli. A w oczach im coś takiego widnawało, że znieść się tego nie dało zbyt długo. Kłechami ich przewodził lud. W klasztorach na wzór warowni się zamykali. I jak zwierzę drapieżny na łowy tylko wypadał.

Im, co przez boga nie wybrani, przyszedł dzień radość z twarzy odniósł. Ręce bolały. Stał jak od zdeptanego powietrza. Świętą wolą kłechów w czerni rąbami.

Az na to wszystko opór zaczął kupiec pod skórą. Nijak nie mógł popieć Masław, jak ziemię tak dale można. I lono jej jak kobiecie naciągac w forturze. Chłopom prostym gardła kara jak postronkiem spięli. Kara to była większa, niż czy mogły przewidzieć. Masław nie pojmował, jak można w wieczne cierpienie nałożyć.

Kobieta, co jej śpiewu słuchać lubił, a widzeniem i łozem swoim się omdleliła, smutną pieśń mu zagadała. O potworze, co mackami oblepił ludzi i ziemię. W uczcie swej krwawej ich rozdzierał, tak że krzyk zastywał, pieśni tłumione cichły.

Az Masław pierś podniósł jakoby zbudzony. Stanął zbrojnie, sumie nie jak ostrzem pennięty. Dość było udręki, krzywd i kłamstwa ołtarzy. Do kłechów ponurych naszło w grody i knieje. Osiedli jak pijawki do

żywego przyssane, poddaństwo czyniąc wśród uległych kmiści. Ruszyło gromem Mazowsze. Masław prowadził

I tak spłynęła krew potwora. Płonęły pustelnie, kościoły, kaźnie dla niewiernych. Roztarli kłamstwo zdradzające człowieka, a sławiące boga, co przerósł naturę. Tak broniła się ona przed tym, co nie istnieje, a treścią życia ogłoszone.

...Mazowsze to wielka ziemia. Ziemia moich rodów i dziadów. Moja matka. A matki się nie sprzedaje. Ja nigdy jej nie sprzedałem. Sprzedali ją synowie moi po śmierci mej.

Całe życie walczyłem, by władza króla tej ziemi nie sięgała. Bo król – to religia i śmierć rodów. Na Mazowszu starszyzna pilnowała władzy i rodów życia. Był to ród zwarty, solidarny i żywy. Ja na jego czele stałem, gdy już dorosnął, i wtedy wiedziałem, że trzeba będzie strzec się wroga.

Z lat dziecięcych pamiętam wojny mych dziadów i ojców nad rzeką. Ojcowie tam ginęli. Mieszko ze zbrojnym wojem fosi i rzeki chciał przebyć, by całą posiąść ziemię. Lecz rzeka mych przodków przed najeźdźcą królów broniła. Chroniła przed królem, krzyżem i niewolą. Nie jeden raz Bolesław za młodu z ojcem i Niemcem mają ziemię najeżdżał i gromił osady. Lecz na rzecze zawsze stawał i bał się jej drugiej strony.

Na Mazowszu trwała zgoda i rodziny sobie pomagały. Lecz lata nie było, by ziemi naszej obcy lud nie najeżdżał.

Bolesław w roku dwudziestym przez rzekę się przeprawił. Lecz jego konie szybko się w bagnach topiły i księcia ni woja Mazowsza nie ujrzał i wracał z pustą kieszą do Gniezna.

Co roku prawie, gdy woda mała, z północy Jaćwing przybywał. I nie chciał on ziemi, lecz kobiety i zboża wziąć na bagna. Lecz często z nim wracał samotny po walce z leśnikami. Na kraj ze wschodu Litwini nastawiali, grabili, ale nigdy nikogo nie zabijali.

I tak się toczył los nasz pomiędzy wojną i grabieżą.

Choć lud był spokojny, to czas przyszedł, że ja – choć młody – wojdą zostałem: zobaczyłem dzieło Mieszka, Bolesława i Litwina. Kraj zniszczono, osady spalono, a lud pozostawał ranny i słaby. Bolesław wkroczył; czas nadszedł jego i jego korony. Starszyzna przyjechała i ja z nią, a on

śmiał się z mego poddaństwa. Pluł na starszyznę, pluł na posagi. Poznałem, że obcy to człowiek.

Mazowsze nigdy nikogo nie było, tylko rodu i jego życia.

I tak się zaczęło me panowanie, choć z Bolesławem byłem związany. Starszych pytałem, co najważniejsze dla rodu i dla ziemi. Mówili, bym nie z dala trzymał od Gniezna i jego królów. Czas nastał, że Bolesław umarł i ożyły stare myśli. Lecz Mieszko szybko przy rzecze nogę postawił i znów nam przyszło władzy króla słuchać. Na rubieżach wojów ostawił, by Jaćwinga i Litwina nie wpuścić i lud Mazowsza do boga przekonać.

W Płocku biskupa nadali, a on ziemię i lud nawracał. Lecz miał daleko i nie przysyłał dużo kłechów. Lud się oburzył, mnie wciąż wołał. Choć miałem drużynę wielką, nie mogłem nie ludowi dać. I rosła moc we mnie, by lud i ziemię ratować. I tak się stało. Mieszko upadał. Tracił ziemię i tracił plemiona. Nie słuchał ludu i starszyzny, szybko ruszyły rudy. Polanin się kruszył, Wiślanin był już wojował, a z nim Pomorzanie. Tu i ludy ruszyły skrwawione krzyżem, ja Mazowsze podniosłem. Czekała stanęła, kościoły padły, a Bezprym objął władzę.

Choć coś wiedziałem, młody nie byłem, powrót królów uznałem za pewny. Mów. Bezpryma nie kupilem, lecz ród odzyskał wolność. I czas się zaczął palenia kościołów i krzyży. Lud postawił posagi i stars przywrócił wycofując. Bezprym padł i wrócili króle przez historię zapomnieni.

To czas dało i siłę, by rodziny i Mazowsze Polsce odebrać, by mogło być swym losem. I tak się stało. Mazowsze własnym się losem rządziło, co przepowiedziała starszyzna. Tak się zaczęło wznoszenie grodów starców. Rody słowiańskie złapały dech i poczuły się znów wolne. Niedługo.

Syn Kazimierz wrócił. I z Niemca pomocą ponownie kraj zaczął budować. Siedem lat ród żył w pokoju i to było jedynym mym szczęściem – rodu żyjącego w niewoli. Choć raz młody ród poznał to, co mu starszyzna prawda.

Księżę przebył rzekę, lasy, tepił osady i przez rok Mazowszan zabijał. Rok był to cierpień, które nam dały spokój na dwa wieki. Kazimierz wracając Mazowsze swym lennem uczynił i kazał rok w rok płacić.

Płaciły głowy. Moja też.

I lecz kraj mój miał swobodę. Nie stawiał krzyży, bogu przestał się dziękować. Kraj ten stał się domem wielu, co za wolnością do krainy trafil, gdzie opiekę i spokój mieli.

KAZIMIERZ ODNOWICIEL (1016-1058)

Odnówić monarchię w Polsce miałem. Odnówić siłę Kościoła. Odnówić duże słowo. Znaczy to, wybić lud oporny z pomocą cesarskich wojów.

Synem Mieszka byłem, mieszkam na cesarskim dworze. Uciekłem z Polski, gdy Masław zaczął pogańską rebelię. Płonęły krzyże, płonęły kościoły, ginęli księża. Ci, co nieś mieli misję Kościoła – zazdrość, intrygę, zdradę, walkę nieśli – od własnej ginęli broni. Z każdym Masław a ruchem traciłem władzę i moc. Stwierzenie do skrytobójstwa na mnie się szykowali; bo już się tego od czarnych nauczyli. Zginąć mogłem z nim, bo to, że przez boga namaszczone, było tylko przeznaczone dla tych, co nie chcieli widzieć, jaka ma prawdziwa rola. Że kler wprowadzam, narod niszcze, łamię dla kaprysu władzy. Że gotów jestem wybić lud, kiedy nie spełni przepisu. Tak mnie uczono, tak rodzic kazał i taka ma była rola. Wiedziałem dobrze, że Kościół władzę zapownia. Że jeno Kościół krzyż i miecz dzieli i władzę nad Polaninem daje.

Musiałem między Polan wrócić; tylko tam mogłem być władcą. Dla królów Europy byłem takim, co żyje w puszczy wśród zwierząt. A wychowałem się na dworze wśród intryg, wśród zabitych jęku, w zapachu krwi i trucizny. Żadne mi zboże nie pachnie tak, jak zapach lęku poddanych.

Odszedłem więc na dwór cesarza – bo on dla nas prawdziwym przyjacielem; tak mi rzekł ojciec.

Cesarz mnie wyśmiał. Powiedział, że poganie jak psa mnie wypędzili i długo o pomoc prosić się dał w tej trudnej dla mnie chwili. Warunków mi postawił moc – że mam być twardy i mocny, buntowników wyciąć w pień, najlepiej pod osłoną nocy. Nocą miał być nieprawdy cień powstały wśród pisarzy. Opisać mieli zdarzenia te, by trudno było prawdę dojrzeć.

Kościółów budować miałem moc, stawiać kolejne kasztele tak, by nigdy już nie odrósł stugłowa hydra pogaństwa.

Podatki mieli mi płacić, a ja Niemcom tajne lenno przekazać miałem za to, że teraz cesarz pomógł mi bunt pogański stłumić. Prawili mi, że pieniądź to podstawa wszelkiej władzy, że gdy go nie ma, kruszec dać

miał; wtedy nie będzie skory do buntu. I rzekł mi cesarz, że gdy rady nie dam, to śmierć mnie czeka szybko. I taki zawarliśmy pakt: śmierć albo panowanie.

Pokloniłem się cesarzowi, wojska zebrałem liczne i mogłem już iść na wojnę. Wskazali mi, jak bić się mam, jakich sposobów użyć, bym Słowian nawet zza bram zawsze zdołał wykarzyć.

Zacząłem jatkę krwawą. Masława własną ręką bym zabił, lecz woj mnie wyprzedził dziełny.

I szliśmy przez kraj, krwawe zbierając żniwo. Przed nami szpiedzy w każde zajrzeli siło. Gdy nie wrócili, był to znak, że większe siły trzeba zebrać, bo rozgorzał tam prawdziwie pogański bunt.

Każdy mój ruch śledził woj, co miał historię opisać, a wiem, że pisma do cesarza stał, był jego uchem i okiem. Gdy cesarzowi coś nie w smak, zawsze stał postaćców. Wiedziałem, że w jednej ręce niósł on list, a w drugiej sztylet, gdybym listu słuchać nie chciał.

Odnowicieln mnie nazwali – to przez ironię chyba. Byłem tylko kościoła ręką. Wyciąłem w pień kraju pół, świątynię moc zbudowałem, starostwa ustanowiłem nad kasztelanem, by i jego ktoś pilnował...

BOLESŁAW II ŚMIĄŁY (1040-1081)

Z bożej woli i łaski sprawować przyszło mi rządy na tych ziemiach, co krwią zbroczone były. Lud prosty i pracowity trudził się w mozoł, by ukochać wiarę i tradycję swych przodków, com enocie jego przypisywał, bo spokojny był i do rozboju nieskory. Stateczność w dni pokoju i odwaga, gdy oręż przyszło w dłoń ująć, największą jego okazywały się zaletą.

Centem ich prawosć i ten szczególnie rodzaj przywiązania do ziemi, na której zostali zrodzeni. Chroniłem lud mój przed chciwością możnowładców świeckich. Przed tymi, co najgorszą stawę mieli, a snót lukrem usła posmarowane – klechami, duchownymi w zabornej zachłanności nieczym nie poskromionymi. Lecz i na to lud skromny przystać był gotów, gdyby żądza papieska nie stała się jeszcze większa. Kościół pragnął powiększyć bezmiar swych dóbr doczesnych, bardziej nawet na nie zachłanny niż na zastępy wiernych. Nawracanie wymówką było załedwie, by zaży-

wał jadła i dobrobytu przy cudzym stole, pod cudzą powałą, paść się zuchwale na ludzkim cierpieniu.

W wojnie dziewczka mi towarzyszyła. Imię jej Lena. Była córką litewskiego kniazia. Chociaż siłą zabrana, nienawisci do mnie nie czuła.

Miała moc zaklętą w sobie. Dawała mi ciszę. W jej byciu i spokoju siebie odnaleźć mogłem.

Zawistne głowy zrozumieć jej nie mogły. Ja w niej światło widziałem. Bali się jej i mnie połączonych razem. Tego żywiołu nie mogli zostawić, boby ich na pogańskiej ziemi zniszczył. Wygnać z kraju księży chciałem i ludziom wiarę w siebie przywrócić. Ona mi siłę dodawała, rozumienie pomnażała.

Kobieta ta słała mi myśli, bym mógł im życie dać: jak skończyć wojnę i ludzi pogodzić. Widziała w Kościele zło niepojęte, nad którym trzeba zapanować.

Sam wychowałem się w wierze w boga, lecz w jego istnienie wątpiłem. Widziałem kapłanów i życie ich zgniłe. Wiedzieli, że słowiański lud silny i ducha z siebie nie odda. Ani miecz, ani złota szata prostego narodu na drogę Chrystusa znieść nie mogą. Widziałem, jak siłą chrzczono. Jak obcinano palce za Światowita i Swojżycę. Zrozumieć tego nie mogłem – jak człowiek, który miłość ma nieść ludziom, ręce odrębał. Sam chrzczony, lecz wiary takiej zrozumieć nijk nie mogłem.

Zmiany tego pragnąłem, lecz wiedzy nie miałem. A czułem moc, by klechów przegnać. Dziewka spokojna miarkowała me trwogi i zapędy.

Prostotą i pokorą swej duszy o własnej myśli mówiła. Radziła, bym listy do Wielkiego Ojca słał i z nim rozmawiał.

On nie chciał słuchać przybłedy z Polski, który dobrze łaciną nie władał i złotych szat nie nosił. To był cios. Wiara w Kościół ze mnie odeszła. Wielki Ojciec mnie nie wysłuchał, to ja słuchać też go nie chciałem. Patrzyłem na klasztorne krwiopłce, którzy tylko pieniądź zbierać, jeść i młode dziewczki uwodzić chcieli, a i zabić brata mogli. Choć głodni, sami chleba nie upieką i na dzika nie zapołują. Lud był gotów ich pozabijać, ale nie chciałem krwi, bo krew ta nic by nie dała. Przyszliby nowi z Włoch i Francji.

Ludzie wiary obcej nie chcieli, a ja nie wiedziałem, co czynić, by kościelnych katów powstrzymać. Oni byli wielcy: Świątynią myśli ogłuszali i ludzi niewolili.

Ludzie chcieli tworzyć osady, a nie wsie, co na klasztory pracować miały. Opuszczali kościelne domy, by w puszczy nowe siedziska budować.

Swoich paziów w klasztory posłałem, by uczyli się tego, czego księża przeciw nam użyć chcieli. Wiara moja topniała. Patrzyłem na księże kłótnie, na tych, co do gardeł sobie o dziewczki skakali.

Biskup Stanisław był inny, sprytniejszy niż wszyscy, byle władzę i bogactwo mieć, jad przeciw mnie toczył. Spowiednikiem został mej żony Judyty, przez Kościół wybranej. Przez nią na moje zamiary chciał mieć patrznię. Syna Judyta mi dała, któremu miłował, i jam do niej miał przywiązanie. Judyta wszystko biskupowi jak na spowiedzi mówiła. Oczami jego zło w litewskiej dziewczosce widział. Obie chciałem pogodzić, lecz chytry biskup nad niezgodą czuwał.

Stanisław zazdrościł mi Leny i nad wiedzą jej chciał zapanować. Mą żonę słowami oplótł i wciągnął w kłusie plugawe. Gdybym był czujny i oczy otwarte miał, ich plany bym wytropił. A tak zbiry biskupa Lenę porwały, oprawcy w tajemne miejsce przenieśli, do wyznań przymusili. Lecz ona mówiła im nie chciała.

Okaleczyli ją okrutnie, ledwie żywą wypuścili, bym mógł się jej cierpienia napatrzeć. Konając zakazała zemsty, lecz słów jej już nie słuchałem. Pospiesznie sąd zwołałem. Gdy wyrok zapadł, kat już czekał wypełnić swą powinność.

Przyszła na mnie czas, bym kraj swój opuścił. Biskup Stanisław nie żył, ale inni biskupi knuli. Zostawiłem naród i władzę. Straciłem to, com budował przez lata. Wygnali mnie z kraju. Nie znalazłem siły w Gnieźnie i Krakowie, ruszyłem na południe. Za mną podążała Judyta z synem.

W klasztorze na Węgrzech dach znalazłem. Przecor uczył mego syna, jak władać myślą i bogactwa ludzi do siebie przyciągać. Mówił, że musimy mistykę i słowiańską prawdę połączyć. Syn oszy ludzi do siebie przyciągał, ciepłem swoim i mnie ogrzewał.

Potajemnie pisałem o wiedzy słowiańskiej - o kobiecie i mężczyźnie, o osadach i puszczy, o bogach, których już nie było. O starszyźnie i jednej myśli.

Swą wiedzę w dwóch księgach zapisałem. Pierwsza - to słowiańska opowieść o ich życiu. Druga - o mojej walce z klerem i bogiem, którego nie ma. Choć księgi chowałem, zakonnicy zwiedzieli się i księgi przejęli.

Widziałem palone po nocy me księgi, lecz część przechowana została. Poznali przez to mnie i mój naród.

Sam papież zabić mnie kazał.

BISKUP STANISŁAW (1030-1079)

Kanonikiem byłem. Wiarę Chrystusa w ludy ziem pogańskich wprowadzić chciałem. Kształcony w Padwie, podstawy mądrości bożej osiągnąłem. Wiedziałem, że bóg mnie stał, bym ludziom wiarę ofiarował. Ludy germańskie, celtyckie i bałkańskie Chrystusa bez większego oporu przyjmowały. Największa, słowiańska zaraza jej przyjąć nie chciała. Dłaz rąk, nóg i głów na tej ziemi poleciało, a wiary brać nie chcieli.

Chociaż w Polsce chowany, z pochodzeniem ukrytym, nigdy Światowita pojąć nie mogłem. Oni go nie czcili, nie stali darów, tylko przy nim stali i nawet modłów nie pełnili. Życie stawiłem na tej zagadce, której sam papież nie umiał rozwiązać. Byłem u jego boku i widziałem, jak rośnie Kościoła władza. Dał mi ten lud nawrócić, a ja czynu tego chciałem dokonać. Wszystkie metody, które posiadałem, w słowiańskich grodach zawoździłem.

Szaty i złoto nie mogły ich zwieść. Władza tylko niechętnym ważną była, a reszta w osadach ze starszyzną obcowała. Niepojęte - im na władzy nie zależało. Razem woja wybrali i wodzem niby królem mianowali. Gdyby nie klasztory, świecka władza raz ustanowiona byłaby tam po wsze czasy. Myśmy dbali, by króla z rodu mianować, a lud dla rodu tego obcym stać się miał. Klasztory i kościoły z mazołem budowane przez dwadzieścia lat płonęły w pogańskich buntach. Nie masz żadnego sposobu, by Słowian w kościoły zapędzić?

Królowie sprzedawać ziemi nie chcieli, bo ona ludu, a nie kleru była. Jedynie Mieszko dawał nam ziemię, na której w niewolę czeladź wpra-

wiano. Lud dał się tylko mieczem omamić. Na dwunastu chłopów trzech zabijaliśmy, by ich siły pozbawić i przed Kościołem strach wzbudzić. Sam wielu obcinałem ręce i męskość odjąłem, by słowiańskich cech płodzić nie mogli.

Co za naród?

Kształciliśmy młode, piękne romańskie i germańskie dziewczki, by intrygę i walkę w mężów słowiańskich włączać. Dworskie panny chwacko do dzieła się zabrały.

Papież stał posiłki i hodowanych w Czechach olbrzymów przysyłał, co strzec porządku w Kościele mieli. Na słowiańską ziemię wszyscy szubrawcy Europy zjeżdżali. Sam ich opłacałem, by w grodach mord i gwałt szła.

Bolesław był inny. Takiego człowieka ni w Padwie, ni w Rzymie spotkać nie można.

Mądrość i siłę z ziemi wyciągał i nieczym go złamać nie mogłem. Nurtzieja wstąpiła, gdy Lenę przywiózł. Szatan była ta litewska dziewczka. Od jej widoku krew w żyłach krzepła, a serce stawało. Bolesław brał siły nowo za jej sprawą.

Papież kazał dziewczkę zabić, lecz wprzód przykazał wiedzę z niej wydobyc.

Król zaczął nowe osady budować i moich z trudem wychowanych dworaków w ręce ludu oddawać - strach i mnie obleciał o życie. Moje wszystkie plany padały. Wojowie w kniejach bez walki ginęli. Brać zakonnu także ginęła i moje dzieło na wieki przepadało. Gasilem pożary, ale wybuchały nowe.

Księża uciekali. Tłustym zakonnikom zabierali jedzenie. Tego już nie mogłem. Biskupstwa w Gnieźnie, Poznaniu, Sandomierzu i Krakowie oblepione przez tłumy klechów były, którzy w głodzie schronienia szukali. Wpuszczałem ich, ale grody jeść im nie dały. Ładowne z jadem wojny z Niemiec w błocie grzęzły.

Obudzona moc ludu ciężka straszna. Musiałem ją zniszczyć, w strachu i żalu utopić. A ja chciałem władzy. Judytami zawsze pokorna i pomocna była. Szybko plan uknułem, by dziewczkę złapać i jej wiedzę pojąć. Porwana, w zamku do lochu wtrącona została.

Tylko jej krzyki słyszałem. Najpierw mówić z nią chciałem, lecz jej ni i mi rozum odebrała.

Gwałciłem ją, biłem, upodliłem. Pozbawiłem oka, urody i wdzięku. I nic. Była chora, zmarznięta i głodna, a słowa mi nie rzekła.

Papież po miesiącu wypuścić kazał. Puszczona w lasach, by zwierzyna ją pożarła, cudem do króla dotarła.

Głupim był, że m zabić nie kazał. Ona wyżyła. Tej kobiety ni jej siły nie pojmg. Uciekałem, lecz Bolesław mnie znalazł, pod sąd postawił. I zatuc nakazał. Tak się los dopełnił

LENA (Krystyna – tzn. chrzczona)

Zwali mnie Lena. Lud mój prosty, ale niezgodę we krwi miał daną. Lubił grabić, kłócić i sąsiadów swoim najazdem niepokoić.

Żoną byłem woja, który tuż przy ojcu kniazia najwyżej postawion. Lecz on kobietom godziwie żyć nie dał. Sam walki i wojny z bratem mym Witoldem szukał. Wiedziałem: wojna i grabież skończyć się muszą, a mnie nie pisane było żyć u boku zabijaki do końca swych dni. Matka ma mądrością się wyróżniała i swą wiedzę w mą głowę wkładała. Uczyła spokoju i pieśni śpiewała o ludach starych i ich życiu w harmonii. Uczyła słowa i myśli do mężów ślać, by walki zaprzestali.

Mąż i brat słuchać mnie nie chcieli. Zabawę we mnie widzieli, a myśli me w większy chaos obrócić chcieli. Grabili Mazowszan, Prusów, Jąćwingów, ludy Żmudzi i Pieczyngów trzebili, a ich osady palili. Szła wieść o królu polskim, co władzę swą sprawiedliwą rozsiać musi

Matka Laudniła o mężu, który prawną wiedzę Słowian rozumie, mówiła. I ja wiedziałam – to zisćić się musi. Miałam sny i widziałam ludzi zgodnie żyjących i bez walki życie pędzących. Widziałam też ludzi z krzyżem do nas niebawem idących. Widziałam ich czerń i krew na rękach. Ich słów były puste, a brzuchy napelnione więcej niż do syta. Mówiłam ojcu, bratu i mężowi, lecz oni jak słupy zaklęte z najazdów rezygnować nie chcieli. Nastął czas, że Witold i pod Kraków w swej wyprawie dotarł. Jam na Litwie była i dni liczyłam końca tej jatki.

Wrócili nieliczni, ranni i krwią płynący. Król Bolesław czeladź ze brał i z wojem i chłopem za Witoldem aż na samą Litwę pognął. Był

wojna i krew się lała. Słyszałam krzyki, gdy mężowie walkę zaczęli. Broniliam Bolesława, bo on wojny nie wszczynął.

Polacy mnie do branki wzięli, bo kobiety dla nich cenniejsze od wszystkich zdobyczy były. Bolesław mnie, córkę kniazia, wybrał i dar mego Jucha się otworzył. Zobaczyłam sny swoje w życie wcielone. Król Bolesław – tak pisane było. On dobry człek i kobiety woli nigdy złamać się nie wazył.

W Gnieźnie mnie samą przy królu stawili. I znów widziałam czarne suknie, klasztory, krzyże, a pożogę i mordy, by ludzi na chrześcijan zwieść

Król chciał, bym chrzczona była, a ja oporu nie dałam. Ale do kukły na krzyżu nigdy słowa w myśli rzec nie mogłam. Bolesław odważny i wielkie serce miał. Mówił, że wojny z Litwą nie pragnął i z żalem ją rozpoczął. Prawił o klekach i ich rozpadzie trawiącym, a ja tylko jego obawy rozmyślałam i do nowych czynów skłaniałam. To, com wiedziała w myśli mężowi nocą ślałam, a i słowem w dniu pomagałam. On to czytał. On widział i brał siłę. Sama się dziwiłam, że mąż może z kobietą w zgodzie dom dzielić. Widziałam kler i biskupa Stanisława, co słowa swe w kościele płatał. Bał się mej i króla duszy.

Dwa lata u boku jegom była i życie takie bez zawiści do ludzi widziałam. Kobiety tutejsze rad mych słuchały i dusze swe mocą własną zapłniać zaczęły. Jakby przeszłość wracała, jakby rodów słowiańskich sława odnawiać się poszła. W pogańskim życiu więcej ducha było niż w miedych drzwiach kościoła. Dałam biskupowi radę, by z kraju uciekał, bo tu wiara w kręgi wraca. On się bał, knuć coś zaczynał, a jego myśli mnie dotykały

Bolesław mną nigdy nie rządził, ale ja jego potrzebowałam, a on mnie. Mówił o zazdrości żony, która ją zżerała, a mnie niepojętą była. Mł słowa krzyżem zaklinała

Dzieci Bolesławowi nie dałam, los tak sprawił. Gdy kościoły płonęły, a tony udziły, biskup porwał mnie. Słowa mego nie usłyszał ani wiedzy, a mnie nigdy nie dobył. Urody pozbawił, niechcianie zapłodnił i palce obci-

królowi zemsty zakazałam. On raz pierwszy posłuchać me mógł i rady me dłu. Śmierć moja i biskupa całe dzieło na wieki w niepamięć włożyła.

WŁADYSŁAW HERMAN (1043–1102)

Rola moja była prosta. Nie robić nic. Prymu nie wodzić. Byłem tylko kluczem, którym otwierano potrzebne zamki. Taka rola mi odpowiadała. Nie musiałem podejmować decyzji żadnych, a o wszystkim wiedziałem.

Za bratem swoim nie przepadałem. On uosabiał te cechy, których mi brakowało – śmiałość, odwagę, zdrowie. To nas różniło. Wiadomość o spisku na jego życie nie przejęła mnie bardzo. Spiskowcom nie przeszkadzałem, a nawet podpowiedziałem to i owo. Walczył ze wszystkimi, to się doigrał. Śmiałość od intrygi go nie uchroniła.

W polityce trzymałem się tej strony, co władzę całą piastowała. Co Rzym miał do Polski? Władzę chciał przejąć i niezależnie ją dzierżyć. Swoich chciał ludzi posadzić na stołki, by dla niego służyli. Rządzącym i biskupom to nie odpowiadało. A co nam z tego? Morały, klątwy i intryga to broń, która ich władzy sprzyjała.

Sieciecha palatyna przy sobie miałem. W spisku udział zazna-
czył. Z biskupem Stanisławem był w cichej zмовie. Ogromnie do gustu mi przypadł. Dążył do władzy i plany swe spełniał.

Urzekła mnie jego siła, co ludźmi kierować kazała. Kobiety go uwielbiały. Wiedział o tym i znał, jak z tego korzystać wywieść. W sytuacji każdej znaleźć się umiał, a i decyzje rychle podjąć potrafił. To był przyjaciel, jakiego pragnąłem. Radą mi służył, jak wokół innych ustawiać.

Po śmierci brata, gdy księciem zostałem i syna już miałem, on z Węgier bratanka sprowadzić mi radził. Intrygę zawiązał: zginął syn brata mego. W sojuszu z cesarzem już byłem, gdyż polityka celom wspólnym sprzyjała. Po śmierci bratanka ludzie z żałoby wychodząc burzyć się poczęli. Sieciech dał radę wtedy, by spalić miasta i wioski, a wszyscy pod władzą się ugną. On wiedzę jakąś dziwną posiadał, co duszą mą owładnęła. Nie bał się on niczego. Życie i śmierć inne tajemnice dlań posiadały. Odsuwał wszystkich, co w drogę wchodzili, a jam dekrety rozdawał.

Lecz gdy moich własnych synów zabić zamierzał, los się od niego odwrócił. Wygnany został, a jam wielką stratę odczuwał. Synom swym stawić czoła nie mogłem, za słaby byłem bez niego. Choroba mnie jakąś trawić poczęła i w mękach życie skończyłem.

ELŻBIETA ŁOKIETKÓWNA (1305–1380)

Ojciec mój Władysław uznania i swobody miał niewiele. Rady wielebne mnichów, ducha wspólnoty rozrywały przeciw sobie iść kazały Polakom.

Rozmowy kłechów słyszałam. Jak ojca wyszydzał. Królestwo całe i nas jak pionki na szachownicy rozkładał.

Sam to chyba wiedział. Nie znajdując jak się pozbyć tego wrzodu świętego.

Ogłuchł i oślepił na to.

W sprawy państwa uciekał, walki toczył, ziemie jednoczył.

Mnie skarbkiem nazywał i do tronu przyuczał.

Pozwalał przysłuchiwać się rozmowom swoim

z możnymi i książkami.

Brata mego ukochanego Kazimierza

jak mnie do siebie wołał

ojcostwa dla narodu i ziemi uczył

Wszystko chciałam widzieć i słyszeć.

Jak mnie nie wołali, sama ucho wyciągałam

wiązałam myśli w całość.

Z tego widzę, jak mało nadziei w ojczyźnie

znieczona – wolno podnosi się po walkach i grabieżach.

Działwa miast rosnąć w pokoju przy zgodzie i dostatku

wypatruje ojców, czy wrócą z bitew

i kto chleb przyniesie.

Na kolana ludziska rzucane. Krzyżem chłostane.

Nędzy się wyzbyć nie mogą.

Czech tylko patrzy, jak zabrać polską ziemię.

Krzyżak krew chłepce.

Same strachy nad nią.

A jeszcze ci, co pokój święty nieść mają

jak tylko się da, niełaską grożą

i strachem podszywają.

Blisko nas podeszli. Przy sióлах, a także

w komnatach, w twierdzach i na kruczkach nam siedzą.

Zda się, że zawsze tak było

i wyjść już nie wyjdą.
 Modlitwy pleść każą, Ja sama mam nimni głowę napchaną.
 Z ojczyzny takiej wyszłam w bogactwo
 i swobodę ziemi węgierskiej.
 By u boku króla stanąć i koronę nosić.
 Dwór dostatni i wielki – zda się
 samo serce skarbcza.
 Władza nie tylko do parad
 ale prawdziwym gromem dźwięczy na całą Europę.
 W tym kraju wszystkim Piastom i Piastkom
 schronienie i opierunek trzymam.
 Każdy Polak wzgląd mój i opiekę w potrzebie znajdzie
 i pierwszy jest nad innych.
 Głos mój u króla zawsze przeważy.
 Pięciu synów mu dałam
 i ród jego stanął siłą.
 Wszystkie dobra tej ziemi
 jak zaplecze dla Polski
 i swojej rodziny szykuję
 I przykładem jej stoję.
 Nieraz dyplomatyką sama wyjść szukałam.
 Myśl łoina i giętki język
 bardziej człowiekowi przystoi
 niż wyróżnić się wzajemnie dla sprawy zamknięcia
 Inną się bili. A ja gdzie trzeba złotem sypiałam
 czy papieża wodziłam.
 Tron i dobro Polski zawsze przede mną stały.
 Mężowi, bratu i synowi radziłam.
 Następców na tron jej sama chciałam wychować.
 Wszyscy inni niegodni tej misji.
 Tylko czyhają: sobie chwałę wziąć
 a państwo ograbić i w obce puścić ręce
 – Męskich potomków nie starczyło.
 Wnuczkę moją wbrew wszystkim ciężkim głowom
 i zawistnym mnichom na tron polski wprowadziłam
 i strzec go kazałam.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO (1351–1434)

Trudny dla Litwy czas nastał. Trudnych wyborów dokonać trzeba,
 aby ziem ojców od zagłady bronić. Potęgą czarnego krzyża zewsząd na-
 piera; nijak nam już, rannym, wytrwać i bronić się nie uda. Przyjdzie mi
 przed krzyżem głowę ugiąć, aby innych krzyży potop powstrzymać. Przy-
 kre to mej osobie sposoby i nie w mojej zrodziły się głowie. Nie masz na
 to jednak rady, jeno w wilka skórę przebrać się i między stado wejść.
 Z polskim rodem w Chrystusa imieniu zbratać się musimy. Tuć my z Pola-
 kami mimo krzyży i modlitw nowych jedno plemię i jedna rodzina. Co
 Polak uczynił – i nam czynić trzeba, a razem i w zgodzie sposobność
 znajdziemy, by odpór dać potędze Krzyżaka. Nie wytrwa już Litwa ran-
 na w ojców wierze, ta droga już dla nas skończona. Widzę to jasno, choć
 serce się wzbrania przed sprawy takim obrotem. Jednak jestem kniazem,
 moc mam wódarzyć, by naród od zguby niechybnej ratować.

Jam się trudu zgody budowania podjął i trwać będę w tym dziele,
 róki sił starczy. Moc przeszkód na drodze, knowania i intrygi najgorsze.
 Nie języki, jadłem zatrute. Z każdego wołania idą, osady najgorsze. „Jaki
 to król dla Polaków z kniazia. On z puszczy i z kniei, w skóry odziany,
 i ho horu niech wraca dzikusom przewodzić”.

Gorycz tę i jad strawić muszę. Na nic gniew i szamotanie. Me uszy
 i oczy otwarte. Przy Jadwidze, pani mojej, stoję. Nasza zgoda miła dla
 narodów. Zgody nie zburzyć nie może.

Zakonu rycerze knowania te czynią, chcą rozbić to, co już stworzo-
 ne. Wielką im w gardłach kością unia narodów naszych stoi. Ruch po
 płonach a zamkach wielki. Z Malborka ślą szpiegów i rozkazy. W rycer-
 stwa Zachodu oczach osobę mą upodlić chcą i umniejszyć. Me uszy i oczy
 otwarte. Rozsądku patrzenie sprawia, że te rzeczy jasne są dla mnie, jako
 dla dani otwarte położone. I wiem, co czynić muszę. Zakon niechęć wielką
 niech żywi, nienawiść odwieczną. Trzeba mi ją na wierzch wydobyć i wszy-
 -skazać.

Nastał czas w narodów przymierzu, by sił dostatek zebrać, stromotę
 jedną ciemniejszy zgotować. Ta Krzyżaków niechęć i wrogość jawna to
 imi rzeźny planów moich. Po Polszcze i Litwie ruszyć trzeba, ludzi
 i siły zbierać. A głowy przeciwnie, co jeszcze ich pełno i tu w Pol-

szcze, i w kraju rodzonym, w obliczu wroga strasznego – umilkną, skrzydła rozwinąć pozwolą.

A chwila jest jedna, jedyna. Duch narodów złączonych siłą naszą i zwycięstwa drogę toruje. Roztropnym być muszę, bo spieszyć się trzeba, Krzyżaków potęgą wielką i nie, zda się, powstrzymać jej nie może. Nie masz już przy mnie Jadwigi. Ona pokój z Krzyżakami do końca trzymała. Jam się nie sprzeciwiał, bo czas zyskawszy, plany swe wcielić mogłem w życie i sposobów a środków szukać.

Teraz wojna już nieunikniona i wahać się nie mogę. Wszystko zda się składać dokoła. Jeno brat mój Witold, co na Litwie ostał, trapi mnie. Zakusy Zakonu, by między nas wejść i skłócić ze sobą, jasne są już i chyba wszyscy to widzą. Podłe to zwyczaje, ale takim to orężem walczą krzyżacy. Cesarstwo im sprzyja, wielu w bojaźni przed nimi tak karki swe ugięło, że prawdy oblicza nigdy nie ujrzą. W Koronie mam wrogów, a ci z nich najgorsi, co w służbie Najwyższego. W majestacie swym ziemskim rządzą Królestwem, co państwem jest w państwie i władzy potęgę buduje.

Jam tedy tutaj na ziemi, co z dawna ludu jednego ojczyznę stanowi. ostoja jest resztek starego porządku i ładu. Choć w nowym przeobrażeniu, w krzyżowej koronie, ta ziemia się jedna ostatnie. I stoczę tę walkę, by zgnieść krzyżacych okowy.

Już i Witold przy mnie. Działania w ukryciu kres bliski. Plan bitwy w mej głowie gotowy. Przemysłny on i przebiegły tak, jako alfa, przeciw której go stawiam. Witoldowa annia z nami w polu stanie, a mimo niestatku oręża wojsko to białe i karne, bo o ziemię swe walczyć będzie.

Jedyna to droga w boju krwawym, by krzyżacy strącić, ugiąć Zakonu potęgę. Niech cały świat widzi, że jest siła i naród, co czoła swego przed nimi nie schyli.

Bitwa wygrana, lecz nie koniec walki. Na później przychodzi miecz odłożyć, choć lepiej by było dzieła dokończyć. Lecz obrót spraw taki, że baczenie większe na sprawy Królestwa dać muszę. Czas ów, nim się Zakon po klęskę podniesie, danym jest mi, by państw i narodów związek silniejszym uczynić.

ZBIGNIEW OLEŚNICKI (1389–1455)

Jużem u dworu. Teraz aby bliżej króla, łaskę jego zaskarbić i zaufanie zdobyć. Sekretarzenia tajniki zgłębiłam, a ile z tej posady korzyści wy-cisnąć zdołam? Na ile lat to starczy, by żar wielki pragnienia władzy ugasić? Król moją nadzieją i u jego boku wielkość ma zabłysnąć. Tako w chwilach coraz częstszych czuję, że z władcą tym związek mój jest bliskim. I w snach postaci przedziwne wołają: „Do króla ty, on cię słuchał będzie”. Strach i trwoga ogarnia, lecz ja strachem kierować się nie będę.

Ludzi prowadzić trzeba jak psy na postronku, trudna to sztuka. A im większa i zacniejsza głowa, tym misterniejszą pajęczynę utkać trzeba, zwierzyne prowadzić delikatnie, zwodzić, co by sama w sidła wzięta i więzienia nie dostrzegłszy z rąk oprawcy jadała.

Już mi do króla coraz bliżej. A i przychyłność u niego dla mnie nieklamana. Tak głowy znamienite, koronowane, zawsze swych zaufanych i doradców miały. Opatrzność mnie zaś to zadanie wyznacza i ku niej prośby swe wnoszę, aby los przychylny planom moim zesała.

Dziękować Panu, król mój już jest, to pewne. Z ramion go śmierci wyrwawszy, niepisana przysięga wdzięczności goni zwinąć. Boć mąż to prawy, prosty w swej naturze, a już to wybawcy swemu dożgonną wdzięcznością odpłaci.

Jagiello to mąż siły wielkiej, lecz wiary Chrystusowej w nim mało. A ludzi, co wiary tej w nich nie wskrzesisz, okiełznać niełatwo. Jest synem Kościoła niedawno i nie ma on pana ponad sobą samym. Muszę ten praw obrót przemienić. Kościoła mi trzeba pozycję umocnić, na jego się nie wesprzeć i szczytów możliwych władzy sięgnąć. Bo Kościół jest ziemski. Pana potęgą, a ja mam sługę jego. Z potęgi tej władza ogromna, a moc i ta ma większą niż wszystkie korony, bo duszami włada, i rządy te sprawować – moja to dziedzina.

Jam tedy sprawię, że króla dążenia, by Zakon wgnieść w ziemię, powieść się nie mogły. Wielokrotnie musiałem zapalać jego studzić, sposoby mu doradzać, bacząc przy tym, by korzyść dla króla i konieczność wielką Inkiego działania przedstawić.

Gry to były misterne, przebiegłości pełne, bo Jagiełło, choć z Litwy był rodu, bystre miał baczenie i wiele rozumu. Jednak raz zwiedziony, częściej się dawał prowadzić i czujność jego była uśpiona. Mogłem więc celów swych skrzydła rozwijać. Kościół w państwie potęgę umacniać. Silną władzę króla tłumić, bo taka zawždy Kościołowi szkoda. Nieraz jeszcze z Krzyżakami uciśzałem, czym zasługi wielkie dla Kościoła położyłem. Dla ich pamięci biskupi urząd objąłem, co sił mej władzy dodało i sposobności nowych. Czułem potęgę, co za plecami moimi stała. Jam był jej częścią znamienitą. Na wyżyny intrygi się wzniosłem. Nie było dla mnie człowieka, który by się ugiąć nie dał, a tym, co karków nie ugięli, łamałem je siłą. Lecz nie siłą miecza, ale siłą przebiegłości, co rękami innych ciosy zadawała. Myśli inne dawała, strach i rozpacz siła.

To wszystko przeszło, nie masz już Jagiełły. Ma moc gdzieś przepała. Urzędy już życiu słodczy nie dają. Czekam na swój koniec, we wspomnieniach błędząc o świetności przeszłej, o dniach blasku chwały.

WŁADYSŁAW OPOLCZYK (?–1401)

Byłem księciem, i to krwi rodów najprzedniejszych, prawie królewską koronę miałem, bo władzę taką sprawować mi było dane.

Władza w rękach jest jak sznurki – ciągniesz i ludzie się poruszają, wielka to moc. A ja – niczyjej jestem ziemi, bom żadnej nie pokochał. Gdybyś mi dał kraj daleki, to i tam bym poszedł. Stać najlepiej jest w cieniu, co cię z niego nie widać, ale łatwo wtedy sprawić, by każde twoje słowo moc zmieniania posiadało. Jakże władzę zdobyć, jeśli nie przez waśnię, niesnaski wzajemne, krzywdy drobne. Trzeba wiedzieć, gdzie słowo wrzucić, by z niego plon wyrósł.

Duch Polski do innych niepodobny. Niby chrześcijański, ale nie uwierzyysz w to, patrząc na nich. To lud prosty i szczery. Intrygą omamić go trudno. Mnie w ich kraju trzeba było jak w kotle zamieszkać. Zdrudy próbować, intrygi wszelakiej, by chęć władzy pobudzić, krew w żyłach chciwością rozgrzać, do walki pociągnąć, uwagę od spokoju, co ich przepępniał, odwrócić. Ja do chłopstwa się zniżać nie muszę. Wystarczy rycerstwo, herbowych poruszyć, herby im odkurzyć.

Zasługa moja wielka dla Kościoła została, bo klasztor, com postawił, masy całe skupił, królów pociągnął i naród ten hardy do krzyża uwiązał. Zbyt duża to potęga, by sama wzrastać miała. Za świeżo w niej chrześcijaństwo zasadzone, łatwo by je jak jakiś chwast wyrwać. To niebezpieczna kraina, twardzi ludzie, co zwyciężyć się łatwo nie dają, jam ich uwagę odcignął, by w ramiona Rzymu wpadli. Mnie zguba, ale im tak-żę, bo niełatwo wyjść z tego. Gdyby jeszcze jaka szata była, tobym się wspiał po niej, by z cienia tronu władzę sprawować. Pomny Ludwika, sprytnym był, dobrze mnie było przy nim. Marzenia o koronie to jedno, władza to drugie. I to drugie dla mnie jako chleb.

Czasu tylko nie starczyło, a Jadwiga mnie zupełnie zawiodła. Można było ten kraj potajemnie ze świata wymazać, podzielić na mniejsze lubo / Węgrami połączyć, wszystko lepsze niż jego w potęgę wzrastanie.

I wiem, że kościelni nie darmo w częstochowskiej ziemi sanktuarium stawiać kazali. Celów ich wszystkich nie zgłębisz, ale moc to miejsce ma wielką.

Oto mocy owej ku celom boga obrócenie: obrazek w Belzie wzięty i przemalowany, trochę bredni i historyjek o cudach, paru zakonnych, co idąc z nimi inaczej niżli po łacinie nie dogadasz. I taki rezultat.

Większym potęgą poddany byłem i choć marzenia moje wniwecz się obróciły, to zadanie wypełniłem. Krętać i intrygi w ziemi tej złożyć, a z nich jeszcze niejedno złe wszędzie. Takich jak ja nie poznasz do końca, oni zawsze z tyłu, a ręce ich jak u królów długie i nierzadko koronę im sznurku ciągną.

Jam ten kraj zdradzał, jakbym dziewczkę chciał posiąść. Kobiet mi nie trzeba było, hulaniek także. Dla mnie władza największą miłością. Zdradę zdradą uszczon i kara moja z inną równać się nie mogła – zamknęli mnie w zamku jak w cebrze. Może trzeba było w polu z mieczem zginać? – Ale o nie po mojemu.

PIOTR SKARGA (1536–1612)

Skarga – bom skarżył. Oskarżyć łatwo. Zawsze i wszędzie jest coś do zarzucenia i wytknięcia. W tej materii wyszkolił człowieka łatwo niepomnienie. Bo i potrzeba była taka: czas i miejsce, by rolę swą spełnić jak

najdokładniej. Dar języka, co słowy tysiącem z ust mych jak ptaki ulata, daje mi radość, co żadnej innej się nie równa – bo jest władzą. Jakże pilnym być trzeba, by ślubów tak wysokich dostąpić w zakonie, co go szanują ze strachu raczej niżli z serca.

Misja moja jest jak gorączka, co mnie trawi ciągle, wydaje mi się, że czasu nie starczy, by wszystko przysposobić. Łapać jak najwięcej w ręce i wycisnąć, okiełznać – a da się przecież. Jego świętobliwość będzie radosny, że w kraju mym wszystko jak po słowie i myśli Kościoła się ściele.

Prawda taka, że władza w rękach tego, co pierwaj uszy obejmie, a przez nie do serca sięgnie, by na końcu ducha uwięzić. Duch narodu tego Jezusowi ma być zaślubiony, a przez to i rycerzom jego. Trzeba tylko baczyć, by ducha tego z rąk nie upuścić, bo cenniejszy on niżli wszelkie skarby

Jedynym królestwem, do którego oczy swe kierować mogą ludzie niczego jak bydlęta nieświadomi, jest niebiańska kraina – do niej zwracają swe prośby i żale, dla niej pracują i żyją, bo ona dzięki nim i w nich żyje.

Plan jest genialny i prosty tak, że aż niepojęte. Szlachta rozzuchwalona; warcholstwo jeno po zaściankach się rozwala, głupota i ciemnota wzrasta i wzrasta jak okiem sięgnąć. Słabi oni, jeno warczyć potrafią i łupić się nawzajem; im piwa podłego starczy, by do nóg dobrodzieja padli.

Jeśli by całą władzę w ręce króla złożyć, gdybyż się to udało, wystarczy, jego tylko omotać – cóż za prostota. Największy jest ambaras z mozymi, co za granicami uczeni, a i w bogactwa zasobni, tych skaptować trudna sprawa, poniechać – broń cię boże, bo oni władzę na ziemiach swych mają. A ci z nich, co reformacją zarażeni, groźni być mogą szczeniem swym.

Król Batory wszystkiemu da posłuch; każdą sprawę co ważniejszą wnet mi przedkłada, a bacznie słów mych słucha. Naród Rzeczypospolitej – masa jak baranów stada na słowa mego skinięcie podatnych. A że kraj biedny, to i o biedzie mówić mu nie trza, a raczej ku bogu jego oczy odwrócić. Kwiecistość języka, wizje, co bojaźń wznieca, w których płomienie i apokalipsy dni bliskie tłum niczym czarem ogarniają, wiedź go, dokąd tylko chcesz! Nie można ręki swej przyłożyć do żadnego religii uchybienia, a myśl wszelaką Kościołowi oddać trzeba – nie masz tu tolerancji, bo i w wierze na nią miejsca nie ma dla mnie i dla innych jednak,

Tylem dokonał – cała Rzeczpospolita w rękach Kościoła. Prawosławie papieżowi pokłoniłone.

Skarbiec pełen, a machina raz ruszona nie stawia i pieniądze strumieniami płyną. Pieniądz i nauka to teraz władza, zawsze tak było. Szkoły w naszych jezuczich rękach napętnają mnie spokojem – pieniądz też nielichy, wciąż większy. Aż mnie czasami myśl dziwnie nachodzi, skąd w tych ludziach biednych taka siła, by za grosze pracować, a i te w końcu oddać na chwałę Kościoła.

Dawajcie, dawajcie, a dając patrzcie oczyma niewidzącymi w bramy królestwa niebieskiego, a jeśli istnieją, to tam się spotkamy, bo moich zasług dużo tam złożonych. Morze słów przelanych, lat na chwale Kościoła spędzonych, dwóch królów ledwie że za rękę wiedzionych. Słodko było żyć wiedząc, że się na górze jest i siłę ma w sobie, co ludźmi porusza – słodko.

BISKUP IGNACY JÓZEF MASSALSKI (1729–1794)

Kościół katolicki najsilniejszą władzą. W państwie, gdzie modły do boga naród zanosi, nic się nie dzieje bez przyzwolenia i wiedzy jego. Wykształcony duchowny silny, ważny i bogaty. Prywata, bezkarność, warcholstwo skryte pod sutanną.

Biskupie Wilno stało się mym królestwem.

Uczestniczyć w wydarzeniach, co historia spisze. Wpływ mieć na ludzi, którym o dobro narodowe chodzi. Być w środku zdarzeń – oto moja rola. Nie przejąć się, zamącić, namieszać. Tak w głowach pokręcić, że myślą, co każe. Łatwo wsaczyć w myśli pokrętnie idee. Wszystko w imię boga i w zgodzie z nim. Takie słowa słyszą. A ten bóg wart mnie jak ja jego. Obaj na usługach.

W Barze pertraktuję w strony obie. Sprzedaję swoich Rosji, z Sasem nie zgaduję. Ja bezpieczny, kiesa moja puchnie. Mnie nie boli, że ojczyznę rozszarpał.

Moja chytrość, rozum, wiedza, dobre urodzenie zaprzędane Kościołowi. Jestem nim, on mną.

Moji bracia – politycy. Radą służą każdej chwili. Ja wykonać mam.

Jezuickie dobra wzięte. Kościół poparł (sam się kryje, swych nie odda). Ich majątek ma pojsć dla ogółu sprawy.

Księża sycą ambicje. Objąć trzeba Edukacji Komisję. Nim świeckość nauką i oświatą zawładnąć zdoła, my patronem będę. em.

Zakonu jezuitów bogactwo pod nadzór objąłem i ręką Kościoła zagarnąłem do ona Edukacja goła.

Staszic pierwszy mnie przejrzał. Zaufanie straciłem. Z imieniem boga przysięgać musiałem.

Wiarą i poparciem odnowy wydłużyłem czas mój.

Sejm Czteroletni i majowa Konstytucja zrodziły się na dobrej glebie.

Baczę na prawa Kościoła. Reformy podsyć, lecz ostrzegam magnaterię, że jej wolność zagrożona. Szlachcie, m. eszczan zwalczać będą za zwiększenie dla nich praw. Ruch zrobiony. Oszukani, ograbieni i zwaśnieni. Złe się toczy. Czas uciekać. Kościół wysłał mnie za granicę, by nie musiał się mnie wypierać.

Idee Oświecenia i wolności po Europie szerzyć się poczęły. Polska od zawsze była miejscem, gdzie myśl zdrowa na żyzny grunt trafia.

Kościółu misja – nie stracić władzy ni znaczenia. Trzeba było czekać, co znał przedmiot działania, udział brał czynny, dysputy prowadził, popierał co trzeba i wiarę. Inym był wiarołomcą.

Oświecenie jest niebezpieczne dla Kościoła. Fali jego zatrzymać się nie da. Lecz wypuścić jad do jądra, co je osłabi, da się. A jadem tym ja.

Zadanie miałem wyćwiczone dobrze. Iść przy ramieniu postępu fał. Zyskać zaufanie. Pewny siebie działać sprawnie.

Obce mi skrupuły, wyrzuty sumienia, wahań. Obcy wstyd i hańba.

Barscy mogli zwyciężyć. Ale ja czuwałem. Niby konfederatom sprawy załatwiałem, a ja ich Rosji odsprzedałem. Nie było wstydu, że Sas negocjował. Skutek się liczył.

Za nic mi ojczyzna, za nic naród cały. Rosja mocarstwem, Rosja moim sprzymierzeńcem.

Lud zając trzeba utraconą wolnością i jej wspomnianiem. Oczy ku bogu zwrócone. Nie będą szukali ni myśli, ni prawdy, rozejrzą się za wrogiem.

O zdradę ja jeszcze nie byłem sądzony.

Publiczne sprawy i życie wo. agwały mnie wielce. Nie o przyjemność jednak tu chodziło. Maszyna postępu w ruch się puciła z rozmachem. Ja znany, poważany musiałem być w kręgu najbliższym.

Sejmowe prace były mym udziałem.

Ciężar reform odsuwałem dalej od Kościoła. Duchowny, oświecony bronił spraw pasterzy – praw do majątkow, sądów, nauczania.

Dla Kościoła, mej kolebki, w ruch puciłem trzy serca byjące – złoto, pozór i prywatę.

Obce kraje nauki nowe dały. Burzy siła, co idzie, Kościoła nie ominie!

Do kraju wracałem, chcąc swego dzieła dokończyć. Zajęci reformami – o mnie nie myśleli. Zbratałem się z magnatami, co nie chcieli króla. Lepsza im niewola cudza niż utrata praw i swobód.

Przyszła Targowica. Jeszcze raz stanąłem z tymi, co sprzedawać umię. Kościoła to wola. Drugi rozbiór i niewola.

Moja sakwa coraz bardziej tłusta i spasiona.

Byłem sprytnym, bez twarzy sprzedawcą tego, co najcenniejsze dla narodu.

Wolność, ojczyzna, honor i postę – złota były dla mnie warte.

Publiczna oświata i szkoły solą były w oku moim.

Ja stuga boży – winny. Za wolność utraconą, ziemię podzieloną, złamane reformy pojmali, wzięli, stracili.

Ja byłem z tych trzech, co wisieli na sznurze najbardziej załganym. Wiedzieli to dobrze, sprzedam każdego i wypnę się głośno w imię boga. Biskupia szata była mą osłoną do czasu długiego. Nie docenili nowych prądów, co dały się myśli, wolę wykonania i spełnienia skutków, przywiodły do mego rozliczenia.

Nie myślałem zginąć. Kościół taki mocny.

Nie zdążył wybronić.

Lecz hardy lud Polan, pomny prawości ojców swoich – upomni się o rozliczenie czynów haniebnych tych, co kiedyś biskupami byli, a wielkości swej do zdrady narodu i kraju używali. Osądzon będzie: Stanisław Szczepanowski, choć zbrodnia jego uświęcona została, Henryk Kietlicz, Wincenty Kadłubek, Iwo Odrowąż, Jakub Świnka, Jan Muskata, Jan Gerbisz, Czesław Odrowąż, biskup Bodzanta – co myślą, że zbrodnie swoje pod ziemię ukryli.

Błogosławieni: Skotnicki, Grot, Oleśnicki – choć aureola świętości pomniki ich spowija, krwawe swe czyny wyjawiać muszą.

Biskup Tomicki, kardynał Hozjusz, biskupi: Karnkowski, Solikowski, Myszkowski, Łęczycki, Skarga, Sołtyk, Krasniewscy, Massalski za męczeństwo, wojny, rozbiory, rozbiicia, niewolę narodu sprawę zdadzą.

Odwieczne prawo inkarnacji – odradzania się duszy ludzkiej w kolejnych ciałach – znało wczesne chrześcijaństwo. Wiedzę tę przejęło od poprzedzających je religii. Mądrość z niej wynikająca jednak ukryto przed współstwem, by łatwiej manipulować masami ludzkimi. Gdy człowiek wie, czym dusza jest w swej istocie, potrafi czerpać z jej dorobku nagromadzonego w poprzednich bytach – i umie czytać intencje manipulatorów. Gdy nie zna rodowodu swej duszy, skazany zostaje na wiarę, przyjmuje pokornie, że jego życie jest pierwsze i jedyne, że wszystkiego trzeba się uczyć od nowa. Taki ktoś nie pojmie celów prowadzących go autorytetów. Za dobrą monetę przyjmie najgorszy występak, jeśli rzecz zrzecznie będzie podana. Mamić można jednak tylko tych, co nie wiedzą, że to możliwe, by martwych pośród żywych szukać – śmierć tylko ciała dosięgnąć, i ciało tylko grzebano, by po następne sięgać, a duszę w podłości przebiegłości szkolić. Naukę o wędrówce dusz z kanonów wiary wyuczono, by w aktualnych dostojnikach nikt niegdyśiejszych zbrodniarzy nie rozpoznał.

Czasy dziś takie, że tędzy gracze
Swe karty będą musieli wyłożyć
Fatsze, intrygi: moc swą tracą
Gdy rzeczywistość w nowe przechodzi

Nikozemność cała w nagości stanie
Pod mianem świętości dotąd skrywana
Oszuści w los przyszły nie wchodzi
Ciało już myśli pokrętniej nie schowa

Kukły święcone lica odsłonią
Drwinę Kościoła pokażą
I trójca święta szaty swe zrzuci
Mgławicę ducha odwoła

Niegdyś mocarze – a dzisiaj w trwodze
Wyroki z rąk ludzkich zbiorą
Za wieki kłamstwa w murach spędzone
Gniew wiernych święte oko wykoła

I żaden bóg nikogo nie będzie ratował
Wybawcy, pasterza na Ziemi nie spotkasz
Wreszcie zasłona pozoru spadnie
I człowieka ze stada przegna

Samemu przyjdzie mu z fatszu wyrastać
Wolność człowieka decyzją mierzona
Odwagą wiedzy płynącą z wnętrza
Trzeba nowe przestrzenie powołać

Bóg bez walczących przestaje istnieć
To konflikt jego siłę budował
Herezje, schizmy, sekty i misje
Bóg sobie zmyślał, by siebie kreować

Gdy walki nie ma
Cudza gorycz – słodyczą ofiary nie sptywa
Już koniec możnych, bogów, zarządców
Nowe z trudu pokornych wyrasta

Wszelka władza od boga pochodzi – slogan zręcznie wpajany wyznawcom chrześcijaństwa zapewnił katolicyzmowi kilkanaście stuleci panowania nad wszystkimi systemami władzy. Taka władza rodzi się ze sprzeczności, niszczenia uniwersalnego porządku rzeczy – toteż warunkiem jej utrzymania jest konflikt.

Dwutysiącletnie dzieje chrześcijaństwa były wypełnione konfliktem. To historia walk o nowe przestrzenie wpływów, to rejestr wewnętrznego konfliktu w łonie wiary.

Definicja istoty boskości (tj. trójcy św.) została tak skonstruowana, by mogła być zarzewiem sprzeczności, by mogły powstawać: schizmy, herezje, ruchy opozycyjne, sekty. Przeciwnik, zwłaszcza niezbyt silny, dodaje władzy blasku, podnosi autorytet, budzi zazdrość. Czyni władanie cenniejszym. Sprawia, że władza i walka stają się największą wartością. Paradoksalne: dwie siły niszczące człowieka i egzystencję stanowią treść życia.

Wiara w boga unicestwia człowieka. Wszystko, co żyje, przynusza do walki. Zmaganie ze sobą, niszczenie drugiego – stały się najpierwszymi przykazaniami ludzkości. Sprawili, że żyjący bez wiary też bez walki nie umieją egzystować. Kod walki wszczepiony przed wiekami, jako podstawowy warunek bytu człowieka, miał zapewnić trwanie religii i niezniechęcalność wiary do ostatniego tchnienia istoty ludzkiej na planecie. Szatański to pomysł, by z takim zapamiętaniem prowadzić do zagłady ludzkości i planety.

Diabelskie zaiste jest żniwo tej wiary. Po dwu tysiącach lat panowania chrześcijaństwa próżno by szukać pełnych miłosierdzia wyznawców. Przeciwnie: coraz więcej wokół nas jadu i mściwości. Coraz więcej potęg pełnych fanatycznej nienawiści. Żadnej litości dla myślącego inaczej, ale i żadnej łaskawości dla współbrata z Kościoła czy partii, jeśli ten zagraża w wyścigu do władzy. Zdziczały i zaślepiiony wiarą naród zapomnienia szuka jedynie w mnożeniu potomstwa. A planeta jest, jaka jest. Wraz z powiększaniem przestrzeni wiary i liczby wyznawców nie

rosną ani jej wymiary, ani zdolność wyżywienia coraz większej ilości ludzi.

Ginie więc Ziemia pod naporem ludzkiej głupoty, miazdżona szaleństwem wiary.

Cóż to za bóg, który swe dzieci do zagłady tak przebiegle wiecie? Nawet dla swych pośredników wyjątku nie czyni. Ci, zaślepieni wiekową grą o boską chwałę, nie spostrzegają, że mistyfikacja pętlą na ich własnej szyi się zaciska. Epoka pozoru, fałszywych wartości dobiega końca. Ostoi się tylko ten, kto potrafi sięgnąć do własnej myśli. Wnioski z realnych faktów wyciągać.

Dzieje Polski z konkretów się składały. Nigdy w nich miłosierdzia nie było. Wielość trudu i krwi przelanej dawniej łatwiejsze czyni dzisiaj Polakom wyciąganie wniosków. Tej sprawiedliwej szansy myślący nie mogą przegapić. Z krwawych wniosków przeszłości – przyszłość przychodzi wznosić.

ZAPRZEDANI DIABŁU

Chrześcijaństwo niebawem będzie święcić dwutysiąclecie swego istnienia. Polska już w połowie 1997 roku rozpoczęła uroczystości rocznicowe, przygotowując się ogromnym nakładem kosztów do Światowego Kongresu Eucharystycznego we Wrocławiu i obchodów męczeńskiej śmierci patrona Polski – Wojciecha, nadto zaś do kilkunastoetapowej pielgrzymki papieża-Polaka – Karola Wojtyły.

Tysiące ludzi z całego świata przyjechało do Polski w przekonaniu, że modlitwą, śpiewem, medytacją, tańcem wzmocnią katolicką jedność, dzięki czemu do swojej lepszosci podciągną gorszy, istniejący równolegle z nimi świat.

Czym w istocie są kongresy eucharystyczne, wprowadzone do obyczaju kościelnego jeszcze w XIX wieku, niewielu uczestników tych imprez zdaje sobie sprawę. Samo słowo „eucharystia” towarzyszy wyznawcom katolicyzmu od momentu pojawienia się pierwszych grup chrześcijańskiej sekty w Europie; wedle definicji – to ofiara ciała i krwi syna bożego poniesiona w celu odkupienia win ludzkich. Czczenie ofiary ciała jednego za przewiny drugiego stało się najważniejszym sakramentem w codziennym rytuale katolickiej mszy: Krew – wino, Ciało – chleb. Monstrancja, hostia, pieszczel męczennika – świat umowy, symbolu, ściągający jednak konkretną energię psychiczną z osób skupionych na mistrzu ceremonii.

Znaczy to, że każdego dnia ceremonia lnie koduje się w wyznawcach przymus cierpienia, wymusza się permanentne poczucie winy. Z drugiej strony wpaja to przekonanie, że nie wszyscy muszą ponosić konsekwencje za popełnione czyny. Bo przestępstwa, zbrodnie, „grzechy” można rozgrzeszać cudzą śmiercią, okupić ofiarą innego człowieka, pieniędzmi wyjednać odpust. Stąd wniosek, że eucharystia służy jako instrument różnicowania ludzi. „Wybrani” dzięki ofierze stanęli ponad prawem. Pozostali skazano na udrękę, pokutę, wyrzuty sumienia. Wmówiono im, że eucharystia, będąc żądaniem ofiary ciała człowieka, ma jakiś wyższy

sens. Przyzwolenie na jej funkcjonowanie jest przystaniem na grę, pozór, które egzystencję człowieka zamieniły w tragifarsę, a wyznawców w takich aktorów, recytujących slogany litanii, przykazań, cnót, wykonujących rytualne gesty (przykłąki, ukłony, bicie czołem), by utwierdzić kod ofiary.

Eucharystia – słowo-wytrych, sprytnie łagodzi to, co się za nim kryje: mord, na którym zbudowano wszystkie religie. Nicustanna krwawa ofiara była niezbędna do wzbudzenia lęku, wiary w konieczność walki i prawo silniejszego w egzystencji człowieka. Dziś, poszerzona o ofiary psychiczne oraz finansowe, zabezpiecza różne systemy religijne. Ceremoniał eucharystii podtrzymuje świat manipulatorów, zabezpiecza pasożytniczą egzystencję hierarchów kościelnych.

A wszystko to stało się za przyczyną stworzenia mitu o męczeńskiej śmierci Jezusa.

Jezus – wie o tym hierarchia duchowna Kościoła – nie oddał za niko-go swojego życia, nie umarł na krzyżu, nie zmartwychwstał i nie wniebowstąpił. Wtajemniczeni w mistyfikację znali prawdę od bezpośrednich towarzyszy długoletniego życia Jezusa. Tajemnicy w stu procentach nie udawało się zachować. Pisał o tym Abulafia w *Traktacie o milczeniu*, znał prawdę Michał Anioł, dając temu wyraz w malowidłach Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie znajdziemy Jezusa ukrzyżowanego, natomiast jest krzyż, który wali się na głowy wyznawców, podobnie jak kolumna symbolizująca naukę przygniata swoje autorytety w scenie końca świata. Co stanowi zapowiedź upadku wiary.

Mistyfikacja męczeńskiej śmierci Jezusa posłużyła jednak do stworzenia nowego systemu religijnego: chrześcijaństwa, miała być zachętą, wzorem do świadczenia ofiar przez wyznawców na rzecz boga i jego pośredników. Ktoś składa ofiarę, by ktoś inny mógł czerpać z niej zyski. Tak podzielono ludzkość na elitę i masy.

Katolicy spoglądając na krzyż najczęściej znajdują na jego ramionach słowa: Wiara, Nadzieja, Miłość – Życie. Nikt nie dostrzega w tej symbolicznej sprzeczności, nie zauważa, że jest wyznawcą religii śmierci i zabijania.

Krzyż – symbol najbardziej okrutnego umierania człowieka – opatrzone hasłami, wiara, nadzieja, miłość nadaje wymiar drwiny życiu, ludz-

kim dążeniom, pragnieniom. Modlitwa, skupienie się na przewrotnym symbolu otwiera człowieka na cierpienie, sprawia, że akceptuje on udrękę – a więc godzi się na oddawanie własnej energii pomysłodawcom „krzyża życia”.

Słowa-wytrychy od zarania dziejów służyły do manipulowania ludzkim myśleniem, wzbudzały emocje w masach ludzkich, doprowadzały do utraty własnej energii. A wystarczyłoby pomyśleć: Jak może pomóc ktoś, kto sam bezradnie wisi na krzyżu. Adoracja takiego wizerunku pozwala utrzymać ogólną bezsilność, przeciwdziała aktywności, samodzielności. Uczy wybaczenia złoczyńcom. Pozwala przebiegłym uciec ponad struktury krzyża, nie ponosić konsekwencji za naganne czyny. Hołdujący symbolice „krzyża życia” czy choćby na nią przystający nigdy nie ułożą między sobą sprawiedliwych relacji. Tak jak nie uda się wprowadzić w ludzki organizm programu zdrowia po wszczepieniu weń wirusa braku odporności.

Czym większa masa ludzka, im gruntowniejsze jej poruszenie emocjonalne – tym oczywistsze zyski dla powołanego symbolu i jego pomysłodawców. Stąd ceremoniał religii zawsze opierał się na uroczystych spędach wyznawców: procesje, pochody, pielgrzymki, krucjaty, marsze, kongresy, parady – to środki do podwyższania temperatury napięć w ludzkich zbiorowiskach. Pojedynczy człowiek traci kontrolę nad własnym myśleniem, rozumieniem, gdy znajduje się w rezonansie emocjonalnym z tłumem, ale można wprowadzać w niego dowolne kody: zwątpienie w fakty, konieczność cierpienia, ofiary.

Słowo „bóg” to również klucz do wzbudzenia lęku, budowy autorytetu, wykorzystywania innych. Posługują się nim ci, którzy wiedzą, że boga nie ma. Ponieważ bóg jest mistyfikacją. Do wiary w niego zawsze trzeba było agitować, przymuszać. Ceną wiary jest zaparcie się wiedzy, oddanie myślenia i energii pośrednikom boskim, ale o tym człowiek wierzący już nie wie. Z czasem staje się wyjąłowym potakiwaczem, wypełnia-czem przestrzeni organizowanej przez autorytet, obywatelem z numerem identyfikacyjnym, żywicielem określonej parafii, biskupstwa, papieństwa. Czym więcej strachu, udręczenia – tym „bóg” wydaje się bardziej wszech-mocny, a wyznawca słabszy, bezradny. I tak zamyka się błędne koło uzależnień. Można głosić miłość, a jednocześnie rozpowszechniać nienawiść.

Można nawoływać do miłosierdzia zagarniając cudze dobra. Wzbudzać u innych sumienie, samemu pławiąc się w okrucieństwie.

Chrześcijaństwo mieni się religią uniwersalną choć wytrzebiło ostatecznie prawa uniwersalne i zastąpiło reguły jednakowe dla wszystkich prawami naturalnymi – czyli prawami silniejszego. Miano wiary uniwersalnej dla religii katolickiej powstało w wyniku zniewolenia tak wielu narodów świata, że teraz wyznanie to uważa się za powszechne. Należy jednak pamiętać, jak do tego doszło. Chrześcijańska sekta wyrosła z judaizmu. Nadal pozostają wspólnym organizmem. Tam jest jej mózg i zasilenie pomysłami wiary krzyża. Judaizm w ten układ wniósł znajomość mechanizmów rządzenia, walki, wykorzystywania, bezwzględności i okrucieństwa. Chrześcijaństwo czerpiąc soki z judaizmu ożywiło nowym napędem skostniałą już strukturę wiary. Gdzie tylko docierało, tam zarażało nienawiścią do człowieka, syciło walką, głosząc przewrót: nie miłość, miłosierdzie i ochronę życia.

Przełom pierwszego i drugiego tysiąclecia miał zapoczątkować imperium chrześcijańskie. Planowano, że do końca drugiego tysiąclecia będzie to jedyny system zarządzania planetą. Postęp, jaki chrystianizacja czyniła wśród społeczeństw Europy Zachodniej, założone w Konstantynopolu centrum wschodniego obrządku chrześcijaństwa budziły nadzieję, że i oporne centrum Europy uda się nawrócić na chrześcijaństwo.

Judaizm zapowiedział nadejście mesjasza-zbawiciela. Tę obietnicę miał spełnić za pomocą programu uniwersalnej religii „Jezus”. Pracowało nad nim wielu doskonale wyszkolonych, doświadczonych agitatorów – działaczy gmin żydowskich, rozsianych po całym Imperium Rzymskim. Podstawy mitologii chrześcijańskiej tworzone przez około 100 lat, dostosowując je wciąż do aktualnych potrzeb ideologicznych.

Dzisiaj również podlegamy programom manipulacyjnym, nie podejrzewając nawet, że wiele z nich to ustalenia i plany sprzed 2000 lat.

Współcześni Polacy np. bezmyślnie powtarzają, że Polska to kraj od korzeni katolicki, a przecież Polanie wiekami bronili bezwyznaniowej tożsamości. Do X wieku wiedza, konkret i słowo honoru było dla nich wszystkim. Żyli zgodnie, rozumieli się. Nie dopuszczali boga do ludzkiego ładu. Nie udało się jednak powstrzymać ingerencji najemników boskich. Chrześcijaństwo zniszczyło myślenie Polaków. Stąd nasza świadomość historyczna jest zubożona o czasy sprzed chrześcijaństwa. Po-

szły do tego kroniki tendencyjnie spisane przez zakonników. Toteż powszechnie sądzi się, że Polska zaczyna się od Mieszka I, chrztem króla w 966 roku. Podręczniki współczesne również nie zawierają wielu informacji o dziejach Polan poprzedzających chrzest w obrządku łacińskim. Historia milczy na temat zaciętych bojów Słowian w centrum Europy, choć skutecznie przez wieki odpierali oni nawałnicę chrześcijańską.

Dokumentów historycznych, zapisów w dziejach krajów zachodnich jest aż nadto, by wyciągnąć wnioski, że z lekceważeniem wypowiadane opinie o pogańskich obyczajach w centrum Europy – to ówczesny wyraz bezsilności chrześcijańskich najeźdźców wobec opornych na boga Słowian. Trzeba było wiekowych zabiegów różnorodnej natury, by doprowadzić ich do chrztu. Dopiero po stworzeniu obrządku wschodniego i nagięciu liturgii chrześcijańskiej do języków słowiańskich doszło do wyłomu w spójnej umysłowości Słowian.

Nasi przodkowie nie żałowali własnej krwi ani życia, by odeprzeć zupełnie obcą im ideologię. Akt chrztu, który wiązał się z bezwarunkowym przyjęciem fałszywych treści, pozostawał w absolutnej sprzeczności z rozumieniem świata przez Słowian. Wprowadzał konflikt myślowy i egzystencjalny. Administracyjnie narzucał styl bycia.

O pierwszym widocznym sukcesie chrześcijaństwa na ziemiach słowiańskich można mówić nie w X, ale już w IX wieku, gdy do działania Cyryla i Metodego umocniły wpływy papieskie w centrum Europy. Bizantyjscy posłańcy szerzyli chrześcijaństwo w języku słowiańskim, co pozwalało łatwiej wniknąć w ludy słowiańskie. Na tak rozmiękczone grunty wkraczał Kościół rzymski.

Cyryl i Metody nie byli pospolitymi misjonarzami. Starannie wykształceni, zanim zabrali się za upowszechnianie wiary, pełnili różne funkcje dyplomatyczne przy dworach cesarskich. Choć uznani za przedstawicieli Kościoła bizantyjskiego, przez całe swoje życie byli przyjmowani z honorami w stolicy apostolskiej.

W 874 roku Czechy przyjęły chrzest z rąk Metodego. W rok później książę Wiślan Lestek siłą zostaje zmuszony do przyjęcia chrztu z rąk uczniów Cyryla i Metodego. Metody wysłał wówczas do księcia posłańców z przestrogą: „Na dobre ci synu wyjdzie ochrzcić się z własnej woli i na własnej ziemi, abyś nie był chrzczony pod przymusem na ziemi obcej”. Wieloplemienne państwo Lestka składało się wówczas z ziem: kra-

kowskiej, kieleckiej, sandomierskiej, lubelskiej, Śląska i Grodów Czerwieńskich.

Misje zachodnich i wschodnich misjonarzy były wtedy bezparto- wymi walkami o wpływy nad rozkwitłymi gospodarczo terenami. Dzięki temu, że historia narodów była tendencyjnie preparowana przez zakon- nych kronikarzy, dziś można aplikować legendy o duchowej roli, misji chrześcijaństwa, zapewniać o szlachetnych intencjach wysłanników bo- skich do krajów pogańskich. Za każdą udaną misją Kościoła zawsze kry- ła się krew tysięcy niewinnych ludzi i zniewolenie umysłowe pozostałych przy życiu. Dzieje narodów pełne są przeinaczeń, przemilczeń, tenden- cyjnych opisów, skonfabulowanych w interesie Kościoła.

Chrześcijaństwo w obrządku łacińskim długo jeszcze walczyło o wpły- wy na terenie Polski, gdyby nie grunt przygotowany blisko sto lat wze- śniej przez Cyryla i Metodego. W poddaniu państwa polskiego stolicy apostolskiej pomogło również osadzenie na terytorium Polan dynastii Pia- stów. Geneza ich rodu nie wywodzi się z Polski – istnieją zapisy potwier- dzające ten fakt. Arystokratyczność i dynastyczność były Polanom obce. Mieszko i jego syn Bolesław Chrobry odwiedzali się sowiec moco- dawcom za osadzenie ich dynastii w Polsce. Usłudze wspierali łacińską ingerencję i wpływy germańskie.

Na dworze polskim Mieszka, później również Bolesława Chrobrego przebywało stale wielu Niemców. Mieszko, o czym historia niezbyt czę- sto wspomina, z entuzjazmem wspomagał Sasów w walkach przeciw Słowianom – dostał nawet honorowe tytuły „jedynego wybawiciela”, „przyjaciela cesarzowej” za tępienie Słowian Połabskich. Mieszko był niezwykle przychylny Wojciechowi Sławnikowicowi. Ów potomek moż- nowładcy czeskiego i księżniczki bawarskiej, powinowaty cesarza Otto- na, protegowany stolicy papieskiej, był biskupem praskim. Ambitny i zapal- czywy, do kariery duchownego przygotowywał się w elitarnej szkole przyklasztornej w Magdeburgu. Tam spotkał się z Bolesławem Chro- brym, a nawet połączyła ich przyjaźń.

W Magdeburgu (w starożytności gród słowiański nad Łabą – Dzie- winów) kształcono dostojników kościelnych, młodzieńców z najlepszych rodów przygotowywano do pełnienia władzy. Kształtowano fanatycznych wojowników, zawziętych orędowników racji Kościoła. Ekspansja, nar- zucanie własnej woli, walka słowem, prowadzenie intryg, dyskusji, kłótni

to podstawowe umiejętności, w które wyposażano przyszłych arystokra- tów. Zgoda, tolerancja, współdziałanie były uważane w tej szkole za prze- jaw słabości. Ceniono głównie zapalczywość, upór, ambicję, nieustępli- we dążenie do celu.

Od przeniesienia rezydencji Ottona I do Magdeburga miasto to pełni- ło specyficzną rolę. By nie pozostał ślad po słowiańskim rodowodzie: „Magdeburg stał się nie tylko pierwszym placem broni, zbiorem przed- niejszego rycerstwa, ale i głównym miejscem zarządu wojennego sił przeznaczonych do działania przeciw Słowianom. Tu się knuły zamachy w celu ujarznienia Słowian, tu na rachunek zdzieranego z nich trybutu wznosiły się pyszne kościoły, tu zebrane »legiony łotrów« gotowe były na skinienie królewskie rzucić się albo na północ ku Pomorzu, albo na południe ku Czechom. Z Magdeburga wyjął później misjonarze niemiec- cy, aby przez kościół ludy słowiańskie w poddaństwo niemieckie zape- dzić”.

Wojciech Sławnikowie talentów wojownika nie przejawiał, zdolności mówcy też nie miał. Kłótniwy, historyczny nieudacznik, chorobliwie am- bitny. Od śmierci biskupa praskiego Dytmara, przy której był obecny słysząc wołanie umierającego, że go czarni czarci do piekła wlekli, tak się przeraził, że tylko bogu służyć postanowił.

Żadne żywoty świętych nie podają, że Wojciech stał w samym cen- trum walki i ataku łacińskiego na duchowieństwo obrządku słowiańskie- go. Wszystkie jego porażki i nieudaczność tłumaczy się grzesznością jego owczarni i podłością pogan, o konflikcie wewnątrzkościelnym, w który był zamieszany, nie mówiąc ani słowa, „W tem tylko nieszczęśliwy był, iż czułość około owiec swych wielką mając, mało im pomagał, bo na złą i zepsowaną rolę trafił”. Ludzie ci „święta gwałcili, postów nie chowali, nikogo (czyli Wojciecha) nie słuchali... klerycy też żenić się jawnie nie wstydzieli, karność kościelną zaniechali, biskupa sobie nic nie ważyli. Upominał, karał, wszystko na próżno, sprzeciw wobec niego był coraz więk- szy”. Wojciech nie potrafił porozumieć się z ludźmi. Narzucał w sposób apodyktyczny łacińskie ceremonie, dogmaty, ascezę, pokutę, posty, choć Czesi już byli ochrzczeni w obrządku słowiańskim. Wojciech na porażki reagował histerycznie. Groził piekłem, potępieniem, rzucał klątwy na Przemyślidów i naród czeski. Toteż został przez praskich chrześcijan wyrzucony. Upokorzony tym faktem udał się do Rzymu. Nieudana misja

nawrócenia rodaków na lepszą wersję wiary była silnym wstrząsem dla psychiki Wojciecha. Zawód, że jego racja nie jest przyjmowana przyprawiało go o stany depresyjne. Stąd ucieczka w mistycyzm graniczący z chorobą psychiczną. Papież ponownie wysłał Wojciecha do Czech. „Gdzie ten nie przestawał upominać i karać... więcej czyniąc niżeli pierwej”. Ortoksją Wojciecha, narzucanie łacińskiego obrządku znowu skończyły się ucieczką na Węgry, ale ta wyprawa też owoców nie przyniosła. Wrócił więc do Rzymu, gdzie rozpoczął czynić wielkie cuda; a to niosąc garniec z winem obalił się, ale przyniósł go zakonnikom nienaruszony, a to „córkę jednemu na oczy chorującą, kładzeniem ręki zleczył, drugiemu stracony apetyt do chleba wrócił...”. Asteryzusz kleryk jego, z gniewem i łajaniem od niego iść precz chciał, ale skoro wyjechał, tak biądnął w drodze, iż się do biskupa wrócić musiał. Tyle zdarzeń „niezwykłych” wymienia Piotr Skarga pisząc o św. Wojciechu. Te cuda miały poprawić niską samoocenę Wojciecha, dodać mu wiary w siebie, a co najważniejsze – rozwinąć w nim ideę fixo zostania świętym. Jako że brakowało mu rozumu praktycznego, daru argumentacji i porywania ludzi, zdecydowano zatem, że zostanie męczennikiem. Przygotowano mu dalszy scenariusz.

W drodze do Czech w towarzystwie cesarza Ottona III „puścił się przez Francję, chcąc świętych ciał nawiedzić”. Rozważania u grobu świętych mężów utwierdziły zaszczerpioną w nim myśl o własnej świętości. Tymczasem Przemysłidzi wymordowali część jego rodziny pozostałej w rodowych Libicach i Czesi już „zadną miarą widzieć Wojciecha, ani go mieć za pasterza nie chcieli”. W historii żywota Wojciecha zapomniał się jednak dodać, że pogrom Sławnikowiców to odpowiedź na spisek Sobiehora, brata Wojciecha, który w zмовie z Ottonem III szykował się do przejęcia władzy w Czechach. Bolesław Rudy, syn Bolesława Pobny, nego wykłety wcześniej przez Wojciecha, okazał się szybszy i wybił spiskujących Sławnikowiców. Pozostali przy życiu bracia Sobiehor, Wojciech i Radzim Sławnikowice na zaproszenie Bolesława Chrobrego przybyli do Gniezna jako wygnañcy. Polityka władców polskich była już wówczas zrecznie sterowana z Rzymu.

W 989 roku Wojciech, jeszcze jako biskup praski, był wykorzystany przez papieża Jana XV i cesarzową Teofano do latynizacji i unifikacji kościoła krakowskiego. Kościół osłabiał narody słowiańskie, powołał

jąo władców tych państw do bratobójczych wojen, wysługiwał się nimi do realizacji cesarsko-papieskiej polityki. Przykładem tego były wojny Mieszka na Łużycach i z Czechami w 990 roku, wsparte udziałem czterech pancernych hufców niemieckich dowodzonych przez zaprzyjaźnionego z Wojciechem arcybiskupa magdeburskiego. Thietmar słowami grafa Zygfryda von Valbeck pisze o tym wydarzeniu: „Dobrze choć i to, że biją się oni sami między sobą. Bo oż byśmy uczynili, gdyby te wojska, które teraz stoją naprzeciw siebie, połączyły się i razem ruszyły przeciwko nam. Spójrzcie tylko ilu pancernych, ile lekkiej jazdy i piechoty przyprowadził tu Mieszko, a ile tysięcy ma Bolesław Pobożny”.

Następca Mieszka, Bolesław Chrobry, prowadząc politykę „wyższych racji” złożył hołd i dary Ottonowi III na zjeździe wasali w Merseburgu. By zasłużyć na koronę, wspomagał Niemców w ich wyprawie przeciwko Słowianom Połabskim, organizował pod patronatem papieżstwa najazdy na terytoria nadbałtyckie. Utworzył łacińską metropolię w Gnieźnie. Papież zaś powołał Wojciecha na arcybiskupa misyjnego.

Z namowy Wojciecha ginęli biskupi misyjni za używanie języka słowiańskiego. Kościół rzymski przemleża tych męczenników, bo ci zostali „ślusnie” zamordowani. Wojciech ponosi odpowiedzialność za krwawą reformę kościelną przeprowadzoną przez Bolesława Chrobrego. Zachowany latopis dla obrządku słowiańskiego z Dubkova tak charakteryzuje działalność św. Wojciecha: „Potem gdy mnogo lat minęło... przyszedł Wojciech do Moraw, do Czech i do Lechii, zniszczył wiarę prawdziwą i pismo słowiańskie odrzucił, zaprowadził pismo łacińskie i obrządek łaciński i obraży wiary prawdziwej popałów, biskupów i księży pozabijał, drugich rozegnał i poszedł do Prus, chcąc i tych na swoją wiarę nawrócić i był ubity Wojciech, biskup łaciński”.

Życie i śmierć św. Wojciecha były ściśle powiązane z polityką Rzymu. Jego przydatność do służenia wierze dostrzeżono jeszcze w Magdeburgu: jego predyspozycje wrażliwego medium, skłonności do duchowych uniesień, wolę wypełnienia szczególnych misji. Był więc pod specjalną „opieką” biskupa Adalberta, który umiejętnie zaszczerpiał w nim ideę postannictwa Kościoła łacińskiego w Europie wschodniej.

Kościół rzymski potrzebował kapłana pochodzenia słowiańskiego do krzewienia dogmatów łacińskich na ziemiach Słowian. Potrzebował też męczennika, wokół którego skupiałaby się uwaga pogan, zmusiła ich do

modłów, ceremonii, ofiar, budowy świątyń, klasztorów, nadeń materialnych. Z misją męczeńską wyruszył więc Wojciech do Prus, godnie uposażony przez księcia Bolesława. Najpierw do Gdańska, a potem na wschód; tam wkroczył w krainę wolnych ludów, zatwardziały pogan, Bałtów. Wojciech postanowił, że albo tych pogan nawróci, albo też mężną śmiercią zginie. Nawykły do nachalnej ingerencji i narzucania swoich racji, wchodził między pogan we wsiach i miastach, przemawiając: „Poznajcie Pana Boga jedynego, a wybawicie dusze wasze z mocy piekielnej i czarotowskiej; wiercie w Jezusa, który świat odkupił, a chrzycie się na odpuszczenie grzechów waszych”. Dla pogan było jasne, że jest to człowiek chory, szalony, niespełna rozumu, pełen przy tym desperacji i determinacji. „Prusacy śmieli się, a słuchać nie chcieli, kazali im z ziemi wynieść, rozkazując pod utratą gardła i majątności, aby ich nikt do gospody nie przyjmował” Wojciech, który prócz odpędzania, kpín i śmiechu większej reakcji u pogan nie widział, postanowił dopiec im do żywego, zadać ból, wymusić odwet, zemstę. Był na to tylko jeden sposób – zbezcześcić to, co dla nich najważniejsze: wbić krzyż w ich święty gaj, gdzie czerpali moc i spokój łącząc się z siłami natury. Wojciech wszedł w krag, który był dla nich święty, bo w tym miejscu zbierali się, by wspierać się radą, podejmować wspólnie decyzje. Biskup, zawodząc psalmy, wbił krzyż w ziemię, rozstawił przenośny ołtarz i zaczął odprawiać masę w niezrozumiałym języku. Czy podobna sobie wyobrazić, że do katedry biskupiej Wojciecha bezkarnie wkraczają poganie i urządzają sobie śpiewaną biesiadę? Za taką profanację byliby „śluszenie” zamordowani. Jednak męczennikami by nie zostali i dzieci całych narodów nie nakazano by ich honorować. Wojciech wykrzykiwał swoje racje, wkraczając do nie swojej ziemi. Spokojnym ludziom narzucał boga, którego nie chcieli. Zbrukał ich ziemię. Dla Prusów był to czyn haniebny, karano go śmiercią.

Świadkowie zdarzenia i wykonania wyroku: brat Wojciecha Radziłm (późniejszy arcybiskup gnieźnieński znany jako Gaudenty) oraz mnich Benedykt, czyli Bogusz – zostali przez Prusów puszczeni wolno, bo praw nie naruszyli i mieli zaświadczać o prawdzie zaszłych faktów. Niestety kronikarze spreparowali wersję oficjalną – kościelną, w której brak wypowiedzi naocznych świadków. Za to mnóstwo jest sprzecznych komentarzy, ocen. Nie ma nawet zgody co do miejsca męczeństwa Wojciecha. Jedni podają okolice miasta Romowe, inni – wsi Chobolin, kolejna we-

rsja głosi, że Wojciech zginął gdzieś w Prusach, między Niemnem, Wisłą a Bałtykiem. Współczesne źródła kościelne zaś wskazują na miejscowość Święty Gaj. A przecież niemożliwe jest, by nie zapisano dokładnie miejsca śmierci tak prominentnej osoby.

Bolesław Chrobry wysłał posłów po ciało Wojciecha do Prus, gdzie i do kogo konkretnie nie wiadomo. Podobno żądali za jego ciało – jedną mównię złota, inni – srebra, jeszcze inni przebacują coś o cudzie: „Ciało ono tak się lekkie na wagach stało, iż bardzo mało srebra ważyło”. A tak naprawdę nic za ciało Wojciecha nie żądano, ale trzeba było jakoś wykazać cenność zwłok i poświęcenie Bolesława. W wersjach historycznych zawsze było dziewięćdziesiąt dziewięć procent zmyślenia, bo to tworzyło fundament wiary.

Skutki tego wydarzenia okazały się ważne dla wielu: Bolesław Chrobry na śmierci Wojciecha zarobił koronę. Papiestwo wygrało batalię, powiększając imperium łacińskie o Słowiańszczyznę. Sam Wojciech zdobył upragniony tytuł świętego już w 999 roku, w dwa lata od swojej śmierci. Warto dodać, że kanonizowany był jako święty niemiecki i dopiero po rozwinięciu kultu na przełomie XII i XIII wieku został uznany za polskiego świętego.

X wiek mimo formalnej inwazji chrześcijańskiej na teren środkowej Europy był nadal czasem zamkniętym dla formacji katolickiej. Aprobata władców polskich dla misji zakonów ingerujących w losy narodu przynosiła skąpe rezultaty. Kmnąbni Polanie nie chcieli ofiary krzyża. Zabijanie kogoś za przewiny innego było dla nich czymś tak niepojętym, że gotowi byli własnym życiem przeciwstawiać się pokrętnym kanonom wiary. Z ofiary krzyża i ludzkiego udręczenia jednak w Europie zachodniej już od dawna czerpano zyski. Walki, konflikty, intrygi wynosiły na trony lub kasowały dynastie. Rozrastały się posiadłości duchownych.

Idea chrześcijańska stała się receptą na utrzymanie społeczeństw w posłuszeństwie, dawała władzę nad ciałem i myśleniem człowieka. System wiary pozwalał na grę ludzkim losem. Człowiek odcięty od wiedzy, czyli pewników swej egzystencji, za rzeczywiste musiał przyjmować to, co wyznaczał autorytet. Prawa naturalne, a w istocie racje silniejszego, bardziej przebiegłego, nie liczyły się z prawdą ani realiami. Stawiały na umiejętności manipulatorskie. Sprytni w ten sposób wymykali się ponad struktury krzyża i czerpali zyski z udręczenia wyznawców.

Polska jako jedna z ostatnich w Europie ugięła się pod ciężarem mistyfikacji wiary

Dziś próżno by szukać rozsądku i mądrości, którą mieli przodkowie. Ekspansja państwa watykańskiego, której celem jest ponowne skucie europejskich krajów katolicyzmem, nie napotyka w Polsce przeszkód. Zahipnotyzowani wiarą Polacy godzą się na hańbiące propozycje stolicy apostolskiej, pozwalają na ingerencję papieża w żywotne interesy narodu. Niczym stado baranów przypieczętowujemy w XX wieku największe paradoksy dziejowe: przystajemy na konkordat, glorię eucharystii, boską preambułę. Zachód wyrasta z prymatu chrześcijaństwa, Polska ożywia kołobkę męczeństwa.

Obiektem szczególnej czci Polaków stał się święty Wojciech – na poły Czech, na poły Niemiec zamordowany tysiąc lat temu przez Prusów, narzucony narodowi polskiemu jako patron. Dziesięć wieków temu przydzielono Polsce obcego ofiarnika, by utwierdzać model męczeństwa wyrósł z mitu o śmierci Jezusa. Męczennicy żywym przykładem zaświadczały bezwzględne oddanie wszechmogącemu, utwierdzały pozycję okrutnego boga – którego za czyny przestępcze trzeba było jeszcze miłować.

Wojciech – słowianozerca, jako zdrajca przepędzony z własnego kraju, jako naiwny przebieraniec wyśmiewany w krajach pogańskich Bałtów, na Litwie i Rusi, zajadły doktryner łacińskiego Kościoła – doczekał się czci i chwaty jako specjalnie zasłużony dla Polski. Po co On nam?

„Męczennik” jest niezwykle efektywnym programem politycznym. Głorzyfikacja męczeństwa sprawia, że czyn taki jest godny naśladowania. Męczeństwo, cierpienie zostaje uznane za najwyższą wartość. Serię męczeńską rozpoczęto programem „Jezus”, co stało się kamieniem węgielnym do rozbudowy Kościoła na nowych terenach niedostępnych wcześniej dla sekty judaizmu – zwanej chrześcijaństwem. Każdy świeżo schryścianizowany naród musiał mieć swego patrona „męczennika”, jako wzór do naśladowania. Przyjęcie symbolu ofiary męczeńskiej jest wyznacznikiem sukcesu i wzrostu władzy Kościoła na zajętych terenach. Z programu „Jezus” wywiódł się scenariusz męczeński Wojciecha. Podobnie i teraz kościół kreuje męczeńskie postawy. Tak doprowadzono ks. J. Popiełuszkę do męczeństwa. Dzięki jego śmierci miało odrodzić się chrześcijaństwo polskie XX wieku.

Wojciech rozpoczynający tysiąc lat temu męczeńską krucjatę w krajach słowiańskich i dziś ma symbolizować akceptację zniewalania narodów i władców. Miał przywieść do stóp papieża i arcybiskupa gnieźnieńskiego prezydentów Czech, Niemiec, Słowacji, Węgier i Polski.

Wielki show przebierañców w Gnieźnie w dniu 3 VI 1997 roku z udziałem głów pięciu państw miał być powtórzeniem bardzo intratnego dla Kościoła spotkania, jakie odbyło się w roku 1000 z okazji pielgrzymki Ottona III do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Ubito wtedy wiele interesów. Bolesław Chrobry otrzymał gwóźdź z krzyża Jezusowego i kopię włóczni św. Maurycego, Otton III zaś ramię św. Wojciecha. Zawiązano wiele intryg politycznych, Bolesława Chrobrego podporządkowano wówczas ostatecznie Kościołowi rzymskokatolickiemu.

Zaproszenie polskiego prezydenta w towarzystwie prezydentów Czech, Słowacji, Węgier, Niemiec było zaplanowanym i świadomym afrontem politycznym wobec Polski, miało poniżyć bezwyznaniowego prezydenta i tę część narodu, która wybrała jego program. To rzucenie go na kolana przed pośrednikami boga w uroczystej atmosferze czczenia zabobonu.

Hierarchowie stosują różne strategie i naciski, by wymusić na prezydencie Kwaśniewskim uległość w kwestii stosunków Kościół–państwo–naród. Wizyta prezydenta-Polaka u papieża-Polaka, na którą głowie państwa przyszło długo czekać, zaowocowała kompromisem, poddaniem się woli Kościoła.

Historii Polski nieodłącznie towarzyszy kompromis przywódców wobec stolicy apostolskiej, skutkiem tego są stale trwoniące siły, energie myślicącej części narodu. Wszystko, co najlepsze, zaprzędawane jest mgdy nie nasyconej bestii, która oczekuje wciąż nowych ofiar, przede wszystkim w postaci energii, emocji i myśli ludzkiej. Takie ofiary są daleko cenniejsze od darów materialnych.

Escriva de Balaguer, założyciel Opus Dei, najprężniejszej sekty wyrosłej z łona Kościoła, zrzeszającej miłośników władzy, nauczał, że kompromis jest brakiem zasad, a ludźmi kompromisu pogardzał nazywając ich tchórzami – ci, którzy nie podejmują walki, są niegodni uwagi, „gdyż czują się pokonani, zanim zaczęli”. Kościół prowadzony coraz jawniej przez Opus Dei lekceważy ludzi kompromisu, czego nie może zrozumieć polski prezydent, przekonany, że ustępstwami zaskarbi sobie względy i za-

służy na aprobatę hierarchii kościelnej. Takim myśleniem własny naród zapędza do katolickiej owczarni

Przybycie polskiego prezydenta do Gniezna to spełnienie marzeń Episkopatu. To cyniczne upokorzenie myślącej – niewierzącej części narodu. Zaś za zwycięstwem kościelnej woli pojdą czyny służące bożym, którzy nie uznają kompromisów. Próżno by czekać gestów miłosierdzia. Hierarchia kościelna nie czyniła ich nigdy.

Dlaczego ludzie boją się dowiedzieć, co kryje się za tabu św. Wojciecha? Dlaczego nie chcą zerwać zasłony fałszu i odkryć faktów? Na celebrowanie ofiary męczeństwa przystają mali i wielcy, historycy, politycy, psycholodzy – nie chcąc wiedzieć, co niesie takie przyzwolenie: „święty” to określony typ wzoru osobowego. Hierarchia katolicka wie doskonale, jakie jest energetyczne oddziaływanie wzorców. Model zachowań, cech charakteru, reakcji, lęków, fobii „świętego” może żyć i odwzorowywać się w społeczeństwach lub narodach pod warunkiem, że jest uroczysto celebrowany. Parady służą do skupiania puli energii, którą zasila się sztucznie utrzymywany model zachowań, np. fanatyzm, apodyktyczność, neurastenizm. W relacji zwrotnej wyznawcy przejmują w siebie system myślowy, emocjonalny, wszystkie skrzywienia charakterologiczne męczennika.

Manipulacja energiami daje władzę, toteż Kościół jest naczelnym orędownikiem nieistnienia energii. W przeszłych wiekach „odkrywcy” antymaterii płoneli na stosie.

Uznanie św. Wojciecha za patrona Polski przyzwoliło na ingerencję Kościoła w życie jednostki, akceptację fanatyzmu, brutalnej nietolerancji, nakazało wiarę w kłamstwa autorytetów, doprowadziło do apoteozy życia uwieńczonego ofiarą za „sprawę”, a przede wszystkim stworzyło instytucję słowiańskiego woja. Św. Wojciech w rzeczywistości jest patronem walki władzy duchowej ze świecką i niezgody narodowej. Był klinem wbitym w naród polski. Ostatnim klinem dobijającym ten naród jest Woj-tyła.

Czytając wnikliwie żywoty świętych w kontekście wydarzeń historycznych można prześledzić zawile meandry polityki kościelnej, wdzierającej się w życie narodu i indywidualnego człowieka. Narzucona wiara zawsze upośledzała myślenie człowieka, degenerowała go, ogłupiała całe

narody. Świętych mamy tysiące, bo tysiące intencji zniewalania ma rządząca hierarchia. Święci – patroni państwowi służą do utrzymywania narodów stale w tych samych podstawowych błędach, słabościach. Wzory osobowe odciskają moralne piętno, wymuszają zgodę np. na łamanie praw człowieka. Asceta pod presją „memento mori” oddawał cały swój majątek na rzecz Kościoła, żył w ubóstwie, umartwieniu, posłuszeństwie kapłanom. Hasło szeroko pojętej ascezy masowo przerabiali normalnych ludzi w neurotyków, fanatyków, zboczeńców.

Propaganda kościelna wymodelowała też ideał rycerza chrystusowego, wojownika mordującego w imię wiary wszystko, co pogańskie. Rezultatem tej propagandy były wojny z Maurami, wyprawy krzyżowe, zbrodnia działalność zakonu Kawalerów Mieczowych Najświętszej Marii Panny, wyżynanie Słowian, Indian, ludności tubylczej terytoriów, które rycerz zajmował dla swego boga. To również nie kończące się walki bratobójcze, wojny domowe. Śmierć za wiarę stała się ofiarą najmilszą bogu. Czy nie pora, by wreszcie zastanowić się kim jest ten, który nazwał się bogiem? Po co bogu tyle krwi i trupów? Komu i do czego potrzebne są sfanatyzowane, psychicznie pokręcone baranki boże? Odpowiedź uznajemy za tabu. Szanujemy tajemnicę bożą, mimo że z tej tajemnicy, jak z puszki Pandory, wylazły wszystkie nieszczęścia Ziemian, a dotyczą nas osobiście po dziś dzień. Odważny się wreszcie postawić naiwne pytanie. Skoro tak szlachetne ideały wpajają religie, dlaczego tak chore są nasze społeczeństwa?

Światowy Kongres Eucharystyczny, uroczystości męczenniczej śmierci Wojciecha, pielgrzymka papieża w 1997 roku miały być wyrazem triumfu chrześcijaństwa (krzyża) w Polsce, tym chętni się hierarchia. Dla zwyczajnego Polaka to dowód, że wreszcie po tysiącletnich zmaganiach udało się zapanować nad myśleniem Polaków. Centrum Europy, które najdłużej broniło swojej bezwyznaniowej tożsamości, dziś jest ofiarą składaną stolicy apostolskiej przez papieża-Polaka. Ten nie waha się poświęcić własnego narodu. Gdyby to się udało, byłby to największy żup Watykanu w historii chrześcijaństwa. Odebranie tożsamości narodowej Polaków na rzecz uczynienia społeczeństwa katolickiego – to zabezpieczenie interesów obcego państwa, to przejście w lenno stolicy papieskiej

Przez całe wieki dbano, by Polska nie wychodziła ze struktury cierpienia, by na co dzień była uwiktana w intrygi, skłócona ze wszystkimi sąsiadami. By wreszcie udręczona do końca zaparła się siebie, własnego rozumu, mądrości, wiedzy i padła na kolana przed mitem zalewolenia, doktryną, która człowiekowi nie pozostawia miejsca na myślenie i własne wnioski.

I tak jak feniks – z popiołów powstanie na zgłiszczach świata, co sam się do rozpadu doprowadził. Ze zgłiszcz wyloni się nowe. Wydubie i wytopione zostanie ze starych form, co choć są już zmurszałe, zatrzymują w sobie drobiny do całości dzieła niezwykle potrzebne. A każdy różne nowego niesie ilość. W momencie powołania do zaistnienia, który już był i jest, i będzie zostanie powien blask z Ziemi – co znaczy „gotowość”.

Rozpuczenie się wszystkiego niewyobrażalna wprost wrzawa. A uczynią to ludzie. I nadejdzie sąd. A każdy sam sobie sędzią i katem będzie. Wszystkie rachunki wyrównane zostaną i nic w tym strasznego nie ma. Takie bowiem jest prawo, choć te dni dniami strachu coraz większego będą.

Rzecz cała od rodu skutańskiego zacząć się pouinna. Są bowiem – bo być muszą – ludzie, którzy przygotawani będą. Oni w sobie słowo niosą, które rozpoczyna wszystko na nowo. Zabrzmi ono, gdy wszelkie elementy scalą się w jedno. Dlatego też szarpać będzie ludzi okrutnie – to, co w nich jak perły, ciągnąc ich ku nowemu zacznie. Stare, choć coraz słabsze, u drugą stronę zaś wieść będzie. Ci, co nie zechcą ku całości dążyć, samoczynnie się oderwą. A dziury w ich ciałach tak ogromne powstaną, że schodzić będą.

Z Polski rzecz cała musi wypłynąć, a praca czeka ogromna tych, którym do niej przeznaczono. Są oni dla ludzi kierunkiem i drogowskazem. Do nich lgnąć będą choćby i na moment. Przez nich jak przez bramę docierać będą do całości, gdy wszyscy skierują się ku jedności. Dla wielu niewidzialne będzie to zjawisko, bo całość bez bogactw materialnych będzie się tworzyła. Gromadzić z ludzi to, co czyste jest, żadną skazą ni kłamstwem nie naruszone. Tak jak ogień wśród ciemności światło spójnych prau jasne i czyste widocznym stawać się będzie i zalewie prawych. Nic, co

potrzebne, nie może zostać zapomniane ani pominąć. Wszystko zmierza teraz do jedności, która jest niepodzielna. Ogarnia wszystko. Niewidoczną czas jakiś, przenikała wszystko i była zawsze obecna - teraz zaś budzi się jako nowa siła. Zawiera ona dorobek wszystkich istot, a ostatni jej ziemski uspeki właśnie dotęcza do Całości.

Wiekami odciągano myśl człowieka od człowieka, kierując ją na boga. Istota ludzka miała zapomnieć, że tylko w porozumieniu z drugą istotą ludzką dochodzi do całościowego rozwoju człowieka. Ale nie masz w całym Wszechświecie nikogo, kto mógłby być pierwszy przed człowiekiem. I nie masz nic ważniejszego dla człowieka niż drugi człowiek, który wskazuje, książką życia jest.

Czas teraz taki, że nie pomogą kapitańskie zapory. Jesliś kiedykolwiek pracował dla zgody z prawami, masz tę prawdę w sobie. Sama wypłyne z ciebie i rozumienie faktów trudnych do rozpoznania przyniesie. Bo czas rozliczenia pozorów i fałszu uprawianego przez wieki na Ziemi, już przyszedł, a żadna jednostka przed nim nie ucieknie.

Przez tych, co zdolni są, by owego ducha wszechwzroczny przejawiać - będzie się moc wleka pokazywać, nigdy nie znana wcześniej. Przyjście Nowego zapowiedziane było wielokrotnie, ale słowem prostym zawstyżony sens nadano i obrócono zapowiedź w groźbę, by fakty mogły być przeinaczane. Wszystkie stare słowa jednak są martwe wobec słowa nowego, a zabrzmi ono, gdy wszystkie elementy stare zdadne do nowego, przez bramę przepłyną i stopią się w całość. Nowe słowo wtedy wybrzmi i nie z ust ono padnie, a właśnie zabrzmi mocą przeogromną. Dźwięk jego, jak fala się rozefulzie, by poruszyć nowe tryby życia.

Jakbyś kamień u wodę rzucił, który kręgi tworzy i rozpręszczenia, tak też nowy duch ogarnąć pocznie wszystko. A słowa i ludzie, co częściami tego ducha wypełnieni będą, sobą Nowe poniosą. Bo oni są słowem przejawem. Słowem zaś żywym tylko takie, które w sobie ma moc zdolną pustkę wypełnić. Zadanie to Słowianom jest przeznaczone, między nimi światła najjaśniejsze. Tam też w pierwszym momencie wszystko się zacznie. Stamtąd rozpręszczenie się na świat cały przyzwane dla wszystkich, co jak w

śnie lunatycznym zamknięci są, by otworzyli oczy. A tego ci, co władzę sprawują, boją się najbardziej i myślą w naukowości i próżności swej głupi, że bieg i porządek rzeczy uda im się odwrócić. Nikt jednak władzy nie ma, aby zmienić to, co już jest dawno rozpoczęte. Żadna istota takiej siły nie ma. Ani jej nawet sobie wyobrazić nie umie. Nigdy wcześniej rzecz taka nie miała miejsca.

Dla tych, którzy się prawdy boją, będzie strachem. Dla tych, co poszukują - drogowskazem.

Wielu nie zdola zmieść widoku siebie. Lusirem staną się oczy drugiego człowieka. Nikt śmierci nieść nie będzie ani też pożogi. Bez kłótni i mściwości rzecz się rozliczy. Prawa, co tak stare, że najstarsze, przypominane będą. I tylko ci, co wedle nich żyć potrafią, zostaną. Wszelkie istnienie kiedyś z jednego wywiedzione spójną całością zacznie się czynić.

I wzrastać zacznie nowy świat, w którym nic, co u poprzednim było, nie może zaistnieć. Między ludźmi granic żadnych nie będzie, a każdy na swoją miarę wszystko otrzyma. By jednak zaistnieć u czasie i miejscu tym - wplerać trzeba sen przerwać i ułudę, i kłamstwo, co mocno okowami świat cały spowija. Odstąpić to, co zasłonięte przed oczyma i uszami.

SPIS TREŚCI

Z bogiem nie wygrasz.....	7
Chrzczeni ogniem i młeczem.....	19
„Niejedno miałem imię.....	45
Zaprzędani diabłu	109
I tak jak feniks – z popiołów powstanie.....	127

ANTYTRYPTYK



*„wierzę – nie myślę
myślę – żyję wiecznie”*

„Bóg człowiekowi taki los zgotował” Anny Mielnik stanowi pierwszą część antytryptyku – wyjątkowej całości edytorskiej, w której został ukazany ogrom spustoszenia w ludzkim myśleniu, dokonany przez Kościół katolicki i ideę chrześcijaństwa. Dzieje Polski i środkowej Europy posłużyły jako pretekst do przedstawienia specjalnego typu indoktrynacji katolickiej. Co pozwala w pełni uzmysłwić sobie okrucieństwo „planu boskiego”, bezwzględność namiestników boskich zniewalających narody.

Dwa kolejne tomy: „Koniec boga – początek człowieka” Edwarda Mielnika i „Boga nie ma” Ewy Mielnik, pozostając odrębnymi całościami, dopełniają w szerszym planie treści tomu pierwszego.

Antytryptyk poprzez zawarte fakty, treści, konkluzje zrusza wszelkie kanony myślenia: wierzysz w coś, kogoś, będąc ortodoksyjnym wyznawcą, intelektualistą, ateistą, znaczy – nie myślisz. Lektura dwóch kolejnych części antytryptyku dobitnie uzmysławia, że żaden ołtarz wiary nie zastąpi wiedzy o energetycznej istocie bytu ludzkiego.

Znajomość świata energii, świadomość istnienia przestrzeni równoczesnych jest równoznaczna z możliwością wyjaśnienia wszystkich ludzkich reakcji, zachowań. Oznacza, że człowiek może świadomie kierować

wać swą egzystencją. Nie musi uciekać w świat religii, kościoła, sekt. Nie musi czekać w przerażeniu na przeznaczenie, liczyć na szczęśliwe zbiegi okoliczności. Dziś większość populacji ziemskiej żyje w zabobonie, oddaje się rytuałom, gdyż zagubiła wiedzę o istocie swego bytu. Ucieka w wiarę, bo bez wiedzy jest bezradna.

Bóg i jego wysłannicy – skąd przybyli na Ziemię? Dlaczego sycili społeczeństwa i ziemskie narody intrygą, konfliktem? Dlaczego Ziemię skazano na samotność i izolację kosmiczną, choć Wszechświat tętni życiem? Czemu człowiek nie może uwolnić się od udręki i cierpienia? Na te pytania i inne wątpliwości natury egzystencjalnej odpowiadają rozdziały tomu drugiego: „Koniec boga – początek człowieka”.

W tomie tym zostały obnażone schematy manipulacji człowiekiem oraz mechanizmy degradacji ciała ludzkiego, sterowanego przez mózg. Po raz pierwszy zaprezentowano energetyczne funkcje mózgu, psychiki i umysłu.

Trzecia część antytryptyku, „Boga nie ma”, uzmysławia, że era manipulacji materią dobiega końca, a systemy wiar wygasają, jako programy wyeksploatowane w ziemskim bycie. Człowiek zaczyna nową egzystencję bez boga. Tom trzeci antytryptyku to vademecum człowieka przełomu epok, zawiera rys konstrukcji nowej epoki bez obietnic nieba – bo owo nigdy nie istniało. Wszystko, co istnieje we Wszechświecie, jest dziełem człowieka, który tworzy dla siebie narzędzia: duszę i ciało, a także środowisko, w którym funkcjonuje – Wszechświat. Sięgać do wiedzy Wszechświata, korzystać z dorobku cywilizacji kosmicznych może każdy po opanowaniu lęku i wyciszeniu terkotu umysłu. Zaś współdziałanie, współpraca człowieka z człowiekiem, a nie bogiem – jest jedyną drogą rozwiązywania wszelkich problemów egzystencji ludzkiej – to podstawowa konkluzja tomu trzeciego, który zawiera również praktyczne wskazania na ten temat.

...Chrześcijaństwo wykształciło kastę bezwzględnych pasożytów. Duchowieństwo, niczym komórki rakowe nastawione na unicestwienie żywiciela – zachłannie pożerało Polskę; niszczyło przejawy myślenia, a mimo to ducha samodzielności nie udawało się zabić w Polakach.

...Św. Wojciech – słowianożerca, jako zdrajca przepędzony z własnego kraju, jako naiwny przebieraniec wyśmiewany w krajach pogańskich Bałtów, na Litwie i Rusi, zajadły doktryner łacińskiego Kościoła – doczekał się czci i chwały jako specjalnie zasłużony dla Polski. Po co On nam? Wojciech w rzeczywistości jest patronem walki władzy duchowej ze świecką i niezgody narodowej. Był klinem wbitym w naród polski. Ostatnim klinem dobijającym ten naród jest Woj-tyła.

...Historii Polski nieodłącznie towarzyszy kompromis przywódców wobec stolicy apostolskiej, skutkiem tego są stale trwonione siły, energie myślącej części narodu. Wszystko, co najlepsze, zaprzędawane jest nigdy nie nasyconej bestii, która oczekuje wciąż nowych ofiar, przede wszystkim w postaci energii, emocji i myśli ludzkiej. Takie ofiary są daleko cenniejsze od darów materialnych.

...Eucharystia – słowo-wytrych, sprytnie łagodzi to, co się za nim kryje: mord, na którym zbudowano wszystkie religie. Nieustanna krwawa ofiara była niezbędna do wzbudzania lęku, wiary w konieczność walki i prawo silniejszego w egzystencji człowieka. Dziel, poszerzona o ofiary psychiczne oraz finansowe, zabezpiecza różne systemy religijne. Ceremoniał eucharystii podirzuje świat manipulatorów, zabezpiecza pasożytniczą egzystencję hierarchów kościelnych.

...Czczenie ofiary ciała jednego za przewiny drugiego stało się najważniejszym sakramentem w codziennym rytuale katolickiej mszy: Krew – wino, Ciało – chleb. Monstrancja, hostia, płaszcz męczennika – świat umowy, symbolu, ściągający jednak konkretną energię psychiczną z osób skupionych na mistrzu ceremonii.